



**Judy Campbell**



**Wreszcie mamy  
rodzinę**

Tytuł oryginału: A Family To Care For

MEDICAL-163

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Do licha! - Sally Jones raptownie przyhamowała, zjechała na pobocze i zatrzymała auto. Zrobiła to dosłownie w ostatniej chwili, bo tuż za zakrętem ujrzała dwoje małych dzieci biegnących środkiem drogi.

Wzięła kilka głębokich oddechów i zacisnęła dłonie na kierownicy, aby się uspokoić.

- Jak można pozwolić takim maluchom biegać po szosie?

- mruknęła zirytowana, wysiadła i podeszła do dzieci.

Dwaj bliźniacy o ciemnych kręconych włosach patrzyli na nią z powagą, ssąc kciuki. Nie wyglądali na więcej niż trzy lata. Mieli na sobie pocerowane swetry i słowiałe trykotowe spodenki. Sally z rozbawieniem zauważyła, że ubranka są mocno przyciasne. Chłopcy już dawno z nich wyrosli.

- Nie wolno bawić się na drodze - powiedziała łagodnie.

- Omal was nie przejechałam. - Rozejrzała się, ale w pobliżu nie było nikogo dorosłego. Dzieciaki mieszkały prawdopodobnie w stojącym nieopodal dużym domu z szarego kamienia, budulca typowego dla tej części Szkocji.

- Ktoś się wami opiekuje?

Obaj chłopcy przecząco potrząsnęli główkami, po czym jeden wyjął palec z buzi.

- Czekamy na tatusia.

- A gdzie jest wasz tatuś? Niedługo wróci?

- Tata pracuje.

Sally westchnęła. Ona także wkrótce powinna być w pracy. I to w nowej. Właśnie jechała na swój pierwszy dyżur. Zerknęła na zegarek: już jest spóźniona. Chyba będzie musiała powiedzieć parę słów temu tatusiowi, jeśli zaraz się tu nie zjawi.

- Chcę do tatusia! - Jedno z dzieci zaczęło płakać, brudną łapką pocierając powieki. - Chcę mu coś powiedzieć!

- Nie płacz. Tatuś na pewno zaraz przyjdzie - zapewniła chłopca pogodnie, lecz teraz już obaj malcy głośno zawodzili, a szloch przeplatała czkawka.

Sally przygryzła wargi. Nie najlepiej rozpoczęła nowe życie. Może postąpiła zbyt impulsywnie, decydując się na tę pracę. Bez namysłu wyjechała z Manchesteru, lecz teraz czuła, że palnęła wielkie głupstwo.

Za namową Julie, swojej przyjaciółki, postanowiła spędzić kilka tygodni w Drumneedoch. Kuzynka Julie, lekarka, musiała wziąć urlop i w miejscowej

przychodni chwilowo był wolny etat. Julie gorąco namawiała Sally do podjęcia tej pracy. Przekonywała, że pobyt na szkockich wrzosowiskach pomoże Sally zapomnieć o cierpieniu, z którym zmagala się przez kilka ostatnich lat.

Pomysł wyjazdu rzeczywiście wydawał się kuszący. Po długiej chorobie i śmierci matki Sally czuła się wewnętrznie wypalona. Musiała choć na pewien czas zmienić otoczenie, aby odzyskać równowagę. Nie mogła jednak pozwolić sobie na wakacje. Poza tym sądziła, że pracując w nowym środowisku, będzie zbyt zajęta, by roztkliwiać się nad sobą. Dlatego znalazła się tutaj - tysiąc kilometrów od domu. Zamieniła wieżowce Manchesteru na szkockie góry.

Teraz przesunęła spojrzeniem po wspaniałych, zalesionych stokach. Żółtawe i czerwone barwy liści świadczyły o nadchodzącej jesieni i odbijały się w lśniącej tafli pobliskiego jeziora. Było tu pięknie - i bardzo pusto! A obok stało dwoje małych dzieci. Co ma z nimi począć? Kucnęła i pogłaskała je po kędzierzawych główkach.

- Gdzie jest wasza mamusia? - spytała z nadzieją w głosie. Jeden z chłopców kopnął leżący na drodze kamień.

- Mamusi nie ma - odparł pośpiesznie.

- Może zaprowadzę was do sąsiadów? Co wy na to?

- Ellie jest tam. - Bardziej puciołowaty z chłopców wskazał palcem dom. - Ona upadła i nie żyje! - Wargi dziecka podejrzenie zdrząły.

- Jesteście pewni, że nie żyje? - Sally usiłowała zachować spokój, gdy chłopcy energicznie kiwnęli głowami. Sprawiali wrażenie tak przerażonych, że instynktownie ich przytuliła. - Nie martwcie się - rzekła serdecznie. - Waszej Ellie na pewno nic się nie stało. Zaprowadźcie mnie do niej, dobrze?

Wzięła z samochodu torbę lekarską i pośpieszyła za dziećmi. Otworzyły na oścież uchylone drzwi i przystanęły, trzymając Sally za spódnicę. W holu było ciemnowo, lecz Sally dostrzegła sylwetkę leżącej obok schodów kobiety.

- O Boże, nie przypuszczałam, że tak od razu rozpocznę pracę!

Sally szybko weszła do Środka i z ulgą stwierdziła, że starsza pani żyje. Była tylko bardzo blada i cicho pojękiwała.

- Pani pewnie jest Ellie? - Sally pochyliła się i uśmiechnęła, aby dodać kobiecie otuchy. - Podobno miała pani mały wypadek. Spróbuję pomóc. Jestem lekarką i nazywam się Sally Jones.

- To prawdziwy cud! - rozpromieniła się kobieta. - A już sądziłam, że będę tak leżeć cały dzień. Zamartwiałam się o tych urwisów, kiedy wybiegli z domu. Usiłowałam wstać, ale strasznie boli mnie noga w kostce. Widocznie ją skręciłam, spadając ze schodów, a później zemdlałam. Ależ ze mnie niezdara!

Sally zsunęła kapeć z kontuzjowanej stopy i delikatnie obmacała kostkę. Na szczęście była ciepła, a puls - dobrze wyczuwalny. Nawet jeśli kość pękła, to krążenie nie zostało upośledzone. Ellie zapewniła, że czuje się dobrze i odczuwa ból tylko w okolicy kostki.

- Musimy zrobić prześwietlenie - oznajmiła Sally - żeby stwierdzić, czy nie ma złamania. Skręcona kostka czasem bywa bardzo bolesna. Pani mogła jednak doznać również urazu kręgosłupa, więc najlepiej będzie pojechać do szpitala. Na razie zrobię pani zastrzyk przeciwbólowy.

- Strasznie mi przykro, że sprawiam tyle kłopotu. A jest jeszcze Ben i Charlie. Ich biedny ojciec i tak ma mnóstwo zmartwień, a teraz jeszcze ja go zawiodłam. Muszę mu powiedzieć, co się stało. Moja droga, poda mi pani telefon?

- Może ja zawiadomię ojca chłopców?

- Nie, lepiej sama wszystko mu wyjaśnię. Czy pani mogłaby tu zostać z dziećmi? On powinien wrócić za godzinę lub dwie.

Na widok szczerze zmartwionej miny starszej pani Sally jęknęła w duchu. Zamiast wyrzucić w nowej pracy dobre wrażenie, będzie niańczyć cudze maluchy!

- Dobrze, ale teraz wezwę karetkę.

- Nie trzeba, moja droga. Ojciec chłopców jest lekarzem w przychodni w Drumneedoch. Na pewno wszystkim się zajmie.

- Ależ ja właśnie tam jadę! Mam zastąpić doktor Beckwith.

- Naprawdę? - Twarz Ellie rozjaśniła się uśmiechem. - Słyszałam, że dziś ma przyjechać ktoś na jej miejsce, ale nie przypuszczałam, że tak szybko tego kogoś poznam!

Sally podała Ellie telefon i spojrzała na chłopców. Właśnie wdrapywali się na taboret przy stojącym w holu pianinie. Byli ślicznymi szkrabami, z gęstymi ciemnymi lokami i wielkimi, niebieskimi oczami. Patrząc na nich, Sally zrozumiała, że bardzo chciałyby mieć dzieci. W ciągu kilku ostatnich lat nie mogła sobie pozwolić na związek z mężczyzną. Cóż za ironia losu, że ten wymarzony zjawiał się w najzupełniej nieodpowiednim czasie.

Zdarzyło się to przed czterema laty - i szybko się skończyło. Był to cudowny okres w jej życiu, ale musiał przeminąć, ponieważ inne sprawy okazały się znacznie ważniejsze. Ale od tamtej pory wypełnione tylko pracą dni nie dawały jej żadnej radości.

Obaj chłopcy pulchnymi łapkami zaczęli bębnić w klawisze, a Sally parsknęła śmiechem, gdy jeden z nich stanął na krześle i całkiem dobrze zaśpiewał piosenkę „Donald, gdzie twoje spodnie?”.

Słuchając jej stów, Sally poczuła bolesny skurcz w sercu, przypomniała sobie bowiem pewne przyjęcie sprzed lat. Wszyscy wypili chyba trochę za dużo wina i pewien młody lekarz - chłopak Sally - zagrał na starym fortepianie właśnie tę melodię, a goście chórem ryknęli refren. Sally bezwiednie się uśmiechnęła i natychmiast zapomniała o tamtym wydarzeniu, ponieważ mały śpiewak zachwiał się. Podbiegła i chwyciła go, na ręce.

Telefon w gabinecie lekarskim brzęczał od dłuższej chwili. Podnosząc słuchawkę, Rob MacKay zaklął w duchu. Miał dziś wyjątkowo dużo pacjentów, a za godzinę spotkanie z nowym zastępcą, niejaką doktor Jones, a później musiał pędzić do domu na lunch.

- Doktorze, dzwoni Ellie Tranter. To podobno pilne. Rob stłumił jęk. Co tym razem zbroiły bliźniaki? I czy

Ellie musi zawracać mu głowę w przypadku każdego, nawet małego problemu? Maluchy pewnie zamknęły się w łazience i odkręciły wszystkie krany... Nie, to zdarzyło się w zeszłym tygodniu. Dzisiaj pewnie zapchały muszlę papierem toaletowym.

- Cześć, Ellie, czy coś się stało? - zapytał sztucznie pogodnym tonem.

- Upadłam i skręciłam nogę. Na szczęście przejeżdżała wtedy doktor Jones i zajęła się mną. Nadal jest tutaj z nami.

Rob bezgłośnie westchnął. Nie mógł winić Ellie za to, że obowiązki czasem ją przerastały. Była przemiłą osobą, uwielbiała jego synów, zajmowała się nimi troskliwie i dbała o wielki, wiktoriański dom. To właściwie cud, że aż do dziś wszystko układało się dobrze.

Przejechał ręką po ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach. Podobno życie samotnych matek jest ciężkie. A co z samotnymi ojcami? Jadąc rano do pracy, codziennie się zastanawiał, na jaki szalony pomysł wpadną Ben i Charlie.

Jak to dobrze, że doktor Jones mogła pomóc. Gdyby nie ona, Bóg wie, co stałoby się z dziećmi. Na myśl o niezliczonych zagrożeniach Rob zadrzał.

Oczywiście, z każdej sytuacji istnieje wyjście, z tej także. Jego siostra Liz niejedynym razem mówiła mu, że powinien ponownie się ożenić.

- Jesteś świetną partią, Rob - powtarzała do znudzenia. - Masz dobrą pracę i piękny dom. Ale ty z uporem maniaka uciekasz na widok każdej kobiety, która spojrzy na ciebie z zainteresowaniem. Trzeba ci przebadać głowę!

Lecz on miał na ten temat inne zdanie. Nie nadawał się na męża. Już raz był żonaty i zmarnował szansę na udane życie rodzinne. Z tego powodu od lat dręczyło go poczucie winy. Nie potrafił się z nim uporać, teraz już nawet nie usiłował. Uznał, że obecnie najważniejsze dla niego są jego dzieci. Musi znaleźć dla nich opiekunkę z prawdziwego zdarzenia, a nie macochę.

- Nie martw się, Ellie - odparł, wracając do rzeczywistości. - Zajmiemy się tobą i wkrótce będziesz jak nowa. A teraz poproś do telefonu doktor Jones. Chciałbym usłyszeć jej diagnozę i ewentualne sugestie.

- Halo, mówi doktor Jones. - Głos w słuchawce brzmiał dźwięcznie i pewnie. - Pobieźnie zbadałam stopę i nie mogę wykluczyć złamania, ale krążenie jest w porządku. Noga nie wygląda na krótszą ani zdeformowaną, więc kość udowa chyba nie jest uszkodzona.

Rob słuchał i z aprobatą kiwał głową. Musiał przyznać, że doktor Jones świetnie dała sobie radę.

Czyżby marzenia się spełniały? Rob uśmiechnął się krzywo. Gdy Lorna Beckwith szukała kogoś na zastępstwo, oczyma duszy widział lekarzkę - ideał. Zdolną, bystrą i niezmiernie pracowitą. Właśnie tego pragnął. Oraz długich wakacji na tropikalnej wyspie, gdzie nikt nigdy nie choruje! Urlop na razie wydawał się nierealny, lecz doktor Jones okazała się miłą niespodzianką.

- Zaraz wyślę karetkę - powiedział. - Zabierze Ellie na prześwietlenie do szpitala. Poczekał tam na nią i wszystkiego dopilnuję. Byłbym dozgonnie wdzięczny, gdyby zechciała pani zostać z moimi synami. Przyjadę jak najszybciej i później przedstawię panią personelowi naszego ośrodka.

Parkując na podjeździe, Rob zerknął na zegarek i się skrzywił. Doktor Jones już dwie godziny pilnuje jego dzieci. Miał nadzieję, że nie jest na niego wściekła.

W domu panowała złowroga cisza, która zazwyczaj oznaczała, że Ben i Chartie strasznie psocą. Rob szybko przeciął hol i usłyszał dochodzące z łazienki piski. Zajrzał tam i oniemiał. Chłopcy podziwiali swoje odbicie w lustrze. Obaj mieli czerwone policzki, oczy obrysowane na czarno i przypominali dwie małe pandy. Natomiast wysoka, smukła dziewczyna z

oszałamiającą burzą kasztanowych loków ręcznikiem wycierała buzię Bena. Cała trójka zanosiła się wesołym śmiechem.

Rob dopiero po chwili pojął, że ta piękna kobieta to zapewne doktor Jones. Nie spodziewał się, że będzie taka młoda i atrakcyjna. Na kilkutygodniowe zastępstwa decydowali się na ogół tutejsi lekarze emeryci, którzy chcieli podreperować budżet.

- Co wy robicie, dzieciaki? - Rob był z lekka przerażony. - I czym, u licha, tak się wysmarowaliście?

- Pięknimy się, tatusiu. - Charlie zachichotał. - Sally mówi, że mamy buzię jak Indianie.

- Charlie i Ben troszkę... eksperymentowali z kosmetykami znalezionymi w mojej torebce. Są śliczni, prawda?

Sally wyprostowała się, jej wspaniałe włosy zafalowały. Spojrzała na stojącego w drzwiach mężczyznę i... zeszywniała. Czyżby miała przywidzenia? To przecież niemożliwe! Czy naprawdę patrzy na doktora Roba MacKaya?

Jej serce zaczęło bić jak szalone. Tak, to na pewno Rob. Ostatni raz widziała go cztery lata temu, i wiele się od tego czasu nie zmienił. Był jak dawniej wysoki i barczysty, miał ciemne, gęste włosy i najbardziej błękitne oczy na świecie. Pracowali razem na oddziale nagłych wypadków, gdy odbywała tam półroczny staż. Natychmiast się polubili i te sześć miesięcy Sally uważała za najlepszy okres swojego życia.

Oboje mieli mnóstwo obowiązków i spotykali się ze sobą tylko przez kilka ostatnich tygodni. Szczęście trwało krótko, a teraz powróciły słodko-gorzkie wspomnienia. Nie do wiary, że Rob już jest poważnym ojcem rodziny!

- Rob, nie poznajesz mnie? - zapytała zduszonym głosem. - To ja, Sally. Sally Jones. Ze szpitala Świętej Małgorzaty w Manchesterze.

Rob przez chwilę wpatrywał się w śliczną twarz kobiety. Było w niej coś znajomego - te kasztanowe włosy, te wielkie, orzechowe oczy... I nagle doznał olśnienia.

- Wielki Boże! - Bezwiednie przeczesał palcami włosy nad czołem. - Oczywiście, że to ty! Wydałaś mi się znajoma, ale od razu cię nie poznałem, bo masz długie włosy. Wtedy były króciutkie i dlatego wyglądałaś inaczej!

Przesunął spojrzeniem po jej smukłej postaci. Sally także milczała, trochę zakłopotana. Czy Rob pamięta ten wieczór, gdy nieoczekiwanie zakończyła ich beztroski, nieskomplikowany romans? Zrobiła to wbrew sobie, ale nie

miała wyboru. Musiała zrezygnować z Roba, pozwolić mu odejść i żyć bez problemów, które nagle ją przytłoczyły.

Skarciła się teraz w duchu. Nie należy rozpamiętywać przeszłości. Upłynęły już cztery lata od tamtego rozstania i obecnie Rob MacKay żyje w zupełnie innym świecie.

- Masz śliczne dzieci, Rob. - Uśmiechnęła się do niego.

- Są bardzo podobne do ciebie.

- To miłe urwisy - przyznał z wyraźną dumą w głosie.

- Czasem wariują, ale można wytrzymać. - Na twarzy Roba znów odmalowało się zdumienie. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty, Sally. Miło cię widzieć. Powiedz, co cię sprowadza na tę prowincję? Do tej pory chyba już jesteś specjalistą?

Powiedział to żartobliwym tonem, lecz Sally zarumieniła się, wiedząc, że słowa Roba zawierają aluzję do przyczyny zerwania, którą wtedy podała.

- Światła wielkiego miasta zaczęły błędnąć - odparła z uśmiechem - a spokój szkockich wrzosowisk jest bardzo kuszący. Nie miałam pojęcia, że tu pracujesz, choć wiedziałam, że pochodzisz z tej okolicy.

W zamyśleniu skinął głową, a Sally spojrzała na niego uważniej. Trochę się jednak zmienił. Wydawał się bardziej zamknięty w sobie, a jego powitanie zabrzmiało tylko uprzejmie - nie było w nim cienia dawnej serdeczności.

- Teraz zajmę się tobą - rzekła Sally i zaczęła delikatnie wycierać rącznikiem buzię Charliego.

- Jesteście nicponie - stwierdził Rob. - Nie powinniście grzebać w torebce doktor Jones. Więcej tego nie róbcie. - Posłał synom groźne spojrzenie, a ich rozradowane buzie natychmiast spoważniały. - Zawsze mają niesamowite pomysły - dodał ponuro. - Nawet w obecności Ellie potrafią narozrabiać. - Pieszczotliwie zmierzwił ich czupryny. Było oczywiste, że srogi ton jest tylko na pokaz. - Pewnie ucieszy cię wiadomość, że Ellie niczego nie zламаła. Ma tylko nadciągnięte ścięgna i z elastycznym bandażem na kostce wróci dzisiaj do domu. Jestem ci niesłychanie wdzięczny za pomoc, Sally.

- Ellie mieszka tutaj czy w Drumneedoch?

- Tutaj, ale w pobliskiej wsi ma rodzinę. Jest moją gospodynią, lecz obawiam się, że po tym urazie będzie jej trudno sprostać obowiązkom.

Sally zdziwiło, że Rob mówi o Ellie „moja”, a nie „nasza gospodyni”.

- Od dawna u ciebie pracuje? Chyba jest bardzo przywiązana do Bena i Charliego.



Po twarzy Roba przemknął cień.

- Ellie to prawdziwy skarb. Traktujemy ją jak członka rodziny. Znam Ellie od dzieciństwa; jest niezastąpiona.

Weszli do salonu i Sally zauważyła stojące na półce zdjęcie. Uśmiechała się z niego atrakcyjna młoda kobieta, która tuliła do siebie dwa niemowlaki. Wyglądała fascynująco, jak gwiazda filmowa.

- To twoja żona? Jaka piękna! - Sally sięgnęła po fotografię. - Chłopcy mieli wtedy chyba najwyżej parę tygodni?

Ciekawe, gdzie podziewa się mama bliźniaków, pomyślała Sally. Może dojeżdża do pracy w mieście?

- Tak - odparł Rob. - Zoe pozowała z nimi w dzień chrztu.

Sally nagle ogarnął smutek. Zrywając z Robem, utraciła coś bezcennego. Teraz Rob jest zupełnie innym człowiekiem. Kocha go inna kobieta, ona o niego dba. Należy tylko do niej i ich dzieci.

Fala żalu była zdumiewająca. Sally dobrze wiedziała, że nie ma żadnych praw do Roba. Ale jego widok, dźwięk głosu obudziły w niej uczucia, które ją rozstroiły. Spojrzała na dwóch chłopców siedzących na kolanach taty i przez moment zastanawiała się, co by było, gdyby...

Nie, takie sentymentalne spekulacje nie mają sensu. Przyjechała tutaj do pracy i powinna postępować rozsądnie.

- A ty, Sally... - odezwał się Rob po chwili milczenia. - Co się z tobą działo? Zareczyłaś się, wyszłaś za mąż?

- Nie, nic z tych rzeczy. Byłam... zbyt zajęta.

- No tak, pamiętam. Dziewczyna, która robi karierę. Na policzki Sally wypłynął rumieniec, który przypomniał

mu różany kolorek na dorodnej brzoskwini. Rob patrzył na nią zafascynowany. Nagle zapragnął musnąć palcami jedwabistą skórę i pocałować te pięknie wykrojone, pełne wargi.

Zdziwiła go ta myśl. Czyżby nieoczekiwane spotkanie z Sally ożywiło wspomnienia o tamtych beztroskich dniach i krótkim, cudownym romansie? Przez kilka ostatnich lat życie Roba wypełniała tylko praca, dzieci oraz problemy rodzinne. I nagle znów rozgorzał płomień, który tak długo był uspiony. Jego intensywność przeraziła Roba. Nie mógł sobie pozwolić na miłość. Byłby ostatnim głupcem, gdyby znów wpadł w pułapkę uczuć.

Brzęczyk pagera raptownie przerwał te rozważania.

- Do licha. - Rob zerknął na wyświetlacz. - To z gabinetu. Powinienem zaraz oddzwonić.

Gdy po chwili wrócił z kuchni, był zaniepokojony.

- Chyba musimy wziąć się do roboty, Sally. W pobliżu Drumneedoch zderzyły się samochody. Podobno jedna z ofiar właśnie zaczęła rodzić. Sytuacja jest trudna, więc chętnie skorzystam z twojej pomocy. Podrzucimy chłopców do mojej siostry. - Ruszył do drzwi i zaraz przystanął. - Rodząca kobieta to córka Ellie Tranter.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Po pięknym poranku nie zostało ani śladu. Znad ukrytego za wzgórzami morza nadpłynęły ciemne, burzowe chmury, a deszcz szybko zmienił się w ulewę. Sally z wdzięcznością wzięła od Roba ochronny strój. Na plecach pokrytej odblaskową farbą kamizelki widniał duży napis: LEKARZ.

Podczas jazdy Sally dyskretnie zerknęła na Roba. Zastanawiała się, jak będzie wyglądać ich współpraca. Rob bardzo się zmienił. Już nie był tym beztroskim chłopakiem, w którym wtedy się zakochała. Małżeństwo i życie rodzinne naznaczyło go dziwną powagą. Mimo to jego bliskość działała na nią podniecająco. Budziła równie silne pożądanie jak przed czterema laty.

Rob chyba zorientował się, że Sally go obserwuje. Gdy ich oczy się spotkały, Sally przez chwilę miała wrażenie, że widzi w jego spojrzeniu dojmujące pragnienie. Głupia jesteś, skarciła się w duchu. Widocznie to nieoczekiwane spotkanie tak na nią podziałało. Rob już do niej nie należy. I tak pozostanie.

Zawieźli bliźniaków do jego siostry, Liz Fordyce. Mieszkała w domu nad zatoką i okazała się bardzo sympatyczną osobą. Promieniowała od niej serdeczność i radość życia, czyli to, co Rob chyba utracił. Liz pracowała na pół etatu w szkole podstawowej i miała dwoje dzieci starszych od Bena i Charliego.

- Nie pozwól Robowi się przepracowywać - powiedziała z udawaną surowością. - Wciąż mu powtarzam, że potrzebuje w przychodni jeszcze dwóch lekarzy, niejednego! - Liz odwróciła się do brata. - Później przywieź Sally do nas, jeśli nie będzie zbyt zmęczona I jedź ostrożnie! Pogoda robi się coraz gorsza.

To prawda, pomyślała Sally, gdy kolejna błyskawica przecięła niebo. Lało teraz jak z cebra i wycieraczki nie nadały z usuwaniem wody z przedniej szyby. Rob z uwagą wpatrywał się w ledwie widoczną drogę.

- Szkoda, że Drumneedoch wita cię w taki sposób - zauważył. - Ta pogoda nie ułatwi nam zadania. Janet, córka Ellie, jest w ósmym miesiącu ciąży. Miała już dwa poronienia i rozpaczliwie pragnie tego dziecka. Oby tym razem wszystko poszło dobrze.

- To jej pierwsze dziecko?

- Tak. Po pięciu latach była skłonna zdecydować się na sztuczne zapłodnienie i wtedy zaszła w ciążę po raz pierwszy. W trzecim miesiącu

poroniła, a później jeszcze raz. Ellie bardzo się o nią martwiła. I wiesz co? - Rob uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Co? - Sally z zachwytem przyjęła fakt, że Rob nadal potrafi się uśmiechać. W tej chwili w jego niebieskich oczach tańczyły wesołe iskierki.

- Janet znów zaszła w ciążę, ale dopiero w szóstym miesiącu zorientowała się, że jest w odmiennym stanie! Chciałbym, żeby doczekała się tego dziecka. Poza tym Ellie i Janet są mi bardzo bliskie. Janet wielokrotnie pomagała mi w trudnych sytuacjach.

Twoja żona chyba niewiele ci pomaga, pomyślała Sally i westchnęła. Gdybym miała małe dzieci, uczyniłabym wszystko, aby się nimi zająć. Maluchy szybko rosną i nie wiadomo kiedy pytają się dorosłe. Musi być cudownie obserwować, jak się zmieniają.

- Chyba ożeniłeś się wkrótce po wyjeździe z Manchesteru - rzekła, pragnąc się czegoś dowiedzieć o małżeństwie Roba.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Tak - odparł lakonicznie i gwałtownie zmienił bieg. Wchodząc w zakręt, samochód lekko zarzucił i Sally zacisnęła palce na brzegu fotela.

- Twoja żona pochodzi z tych stron?

- Nasze rodziny znały się od wielu lat. - Rob wbił wzrok w zalaną deszczem szybę auta.

A więc Rob szybko się pocieszył po tamtym rozstaniu. Może nawet był zadowolony? Uznał, że miejscowa dziewczyna lepiej nadaje się na towarzyszkę życia niż ktoś spoza Szkocji.

Sally odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy. Myślamy powróciła do tamtego dnia, w którym zrozumiała, że musi z Robem zerwać. Pamiętała wszystko tak dobrze, jakby zdarzyło się wczoraj.

- Sally, domyślasz się, co zamierzam ci powiedzieć, prawda? - Głos specjalisty był przepojony sympatią i współczuciem. - Twoja matka cierpi na chorobę Alzheimera.

Sally tępo patrzyła na lekarza. Oczywiście spodziewała się takiej diagnozy. Symptomy choroby były wyraźne: matka coraz częściej zapominała o różnych rzeczach, nie potrafiła sama trafić do domu, nawet wtedy, gdy wyszła tylko do ogrodu. Jej stan wciąż się pogarszał, co mogło trwać jeszcze przez wiele lat.

Po wyjściu od lekarza podjęła decyzję. Wyprowadzi się z domu, który zajmuje z dwiema koleżankami, i zamieszka z matką, aby się nią opiekować. Powinna też rozstać się z Robem. Nie mogła obarczać go swoimi

problemami ani oddać matki do domu opieki. Matka zawsze ją wspierała, a teraz potrzebuje jej pomocy.

Sally wiedziała, że nazajutrz Rob jedzie do Szkocji załatwiać jakieś ważne sprawy rodzinne, nie miała więc czasu, aby przygotować grunt. Musiała zakończyć ten romans natychmiast. Gdy spotkali się tego wieczoru, Rob od razu zorientował się, że coś ją gnębi. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej bladą, ponurą twarz.

- Coś się stało, kochanie? - Otoczył ją ramieniem. - Chyba jesteś przygnębiona.

Czuła się tak, jakby za chwilę miała umrzeć.

- Rob, wiem, że należało powiedzieć ci wcześniej, ale długo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że dla naszego dobra lepiej zakończyć ten związek.

- To jakiś żart? - Rob cofnął się i patrzył na nią oszołomiony, lecz jej zacięta mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości. - Chcesz zerwać dla naszego dobra? Co to, u licha, ma znaczyć? Nie kochasz mnie? Czegoś się obawiasz? Skarbie, poradzimy sobie z każdym problemem.

Umknęła spojrzeniem w bok, nie mogąc znieść błagalnego wzroku Roba. Znów pomyślała o matce i wyrzeczeniach, jakich wymaga opieka nad nią. W tej sytuacji wspólna przyszłość z Robem była wykluczona.

- Bardzo cię... lubię, Rob, ale po namyśle sam przyznasz, że na tym etapie naszego życia nie powinniśmy się wiązać. Nasza kariera zawodowa dopiero się zaczyna, czekają nas liczne kursy i egzaminy. Wydaje mi się, że nasz romans pochłania zbyt wiele czasu. Jutro wracasz do Szkocji, więc to najlepszy moment, żeby się rozstać. Rob zaśmiał się sucho.

- Nie przypuszczałem, że praca jest dla ciebie najważniejsza. Najwyraźniej się myliłem. Oczywiście, nie chcę hamować cię podczas pokonywania kolejnych szczebli kariery - rzekł zjadliwie. - Nie stanę ci na drodze, kochanie - dodał już innym, niemal czułym tonem. - I nie wiem, jak długo będę musiał zostać w Szkocji. Rozumiem, że potrzebujesz wolności. Nie mogę być kamieniem u twojej szyi.

Później Sally długo myślała o ironii tej sytuacji. Zerwała z Robem, aby nie stać się ciężarem dla niego. Tej nocy nie zmrużyła oka. Płakała aż do rana.

Kolejny ogłuszający grzmot sprawił, że wróciła na ziemię. Znów dyskretnie zerknęła na Roba. Miała nadzieję, że jest szczęśliwy. Zasługiwał na to.

- Obyśmy dojechali na czas - mruknął. - Jest tak ślisko, że wolę nie przyśpieszać.

- Sądysz, że mąż Janet jechał razem z nią?

- Wątpię. Jest rybakiem i zazwyczaj wraca do domu tylko na weekend. - Rob pokonał kolejny ostry zakręt i gwizdnął z wrażenia. - Boże, co tutaj się stało?

Drogę przegradzała bariera z ustawionych rzędem czerwonych słupków. Na poboczu stała karetka i wóz strażacki. Czerwono-niebieskie światła obu pojazdów błyskały oślepiająco. Dalej znajdował się wrak samochodu osobowego, którego przód przygniatała wielka ciężarówka pełna żałośnie beczących owiec.

Sally z przerażeniem patrzyła na zmiażdżoną w wyniku czołowego zderzenia część dachu i maskę auta, spod której teraz wydobywał się złowrogi syk.

- Sally, idziemy. - Rob chwycił ją za ramię.

Pośpiesznie wysiedli i zaczęli się przepychać przez tłumek gapiów w stronę udzielających pomocy sanitariuszy. Jeden z nich opatrywał zakrwawioną głowę siedzącego na ziemi mężczyzny, drugi stał przy wgniecionych drzwiach osobowego auta i rozmawiał ze strażakiem.

- George, ile osób jest w środku? - spytał Rob.

- Jedna - odparł pielęgniarz. - Janet Buchan.

- Jechała sama?

George twierdząco skinął głową.

- Nie jest chyba ranna, ale szok wywołał skurcze porodowe. Janet jest strasznie zdenerwowana. Właśnie próbowaliśmy ją uspokoić. Tamten facet to kierowca ciężarówki. Odniósł tylko powierzchowne obrażenia.

Rob przedstawił obu mężczyznom Sally i George wyjaśnił, dlaczego wydobywanie kobiety z wraku sprawia duże trudności.

- Szpara między dachem a drzwiami jest bardzo mała. Zamierzamy wyciąć acetylenowym palnikiem większy otwór, ale musimy bardzo uważać, żeby ciężarówka nie przesunęła się do przodu i całkiem nie zgmiotła samochodu.

Rob kucnął i zajrzał do środka. Wydawało się niewiarygodne, że znajdująca się tam osoba nie jest ciężko ranna. Z wnętrza auta dał się słyszeć jęk i głośniejszy, pełen przerażenia krzyk.

- Janet, to ja, Rob MacKay. Nie martw się, wkrótce cię wydostaniemy. - Rob mówił głośno, aby przekrzyczeć siekący o karoserię deszcz. - Nie zostawimy cię tutaj, ale ekipa musi użyć specjalnego sprzętu do cięcia

metal. Pamiętaj - dodał z naciskiem - jestem blisko. Wszystko będzie dobrze.

Jego głos brzmiał sugestywnie, niemal hipnotyzująco. Sally ze ściśniętym sercem wyobrażała sobie, co teraz musi czuć ta kobieta.

- Och, jak to dobrze, że to pan - odrzekła Janet. - Tak strasznie się boję! - Podniosła głos. - Nie mogę się ruszyć, a dziecko... Proszę mi pomóc. Nie chcę go stracić.

Janet najwyraźniej była bliska paniki. Rob podjął decyzję.

- Sally, zamierzam wcisnąć się do samochodu. Janet będzie spokojniejsza, mając kogoś obok siebie. Powinna z kimś rozmawiać, żeby nie myśleć o zagrożeniu.

- Chyba żartujesz. - Sally obrzuciła wzrokiem sylwetkę Roba. - Jesteś zbyt potężnie zbudowany. Nie przecisniesz się przez ten otwór, tylko w nim utkniesz. Ja tam wejść.

- Wykluczone. Ty masz tylko mówić do Janet i podtrzymywać ją na duchu.

- Ale gdybym podała jej dożylnie hemacel i sprawdziła ciśnienie...

- Nie pozwolę ci tam wejść, Sally. To za duże ryzyko. Ciężarówka może w każdej chwili przygnieść cały samochód. Poczekamy, aż ekipa powiększy otwór. Wtedy ja dostanę się do Janet.

- Po co więc mnie tu przywiozłeś, skoro mam stać bezczynnie? - spytała wyzywająco.

- Pracujemy w zespole! - rzucił sucho Rob. - Na ciebie też przyjdzie kolej. Nie możemy zrujnować wysiłków tych ludzi jakimś gwałtownym działaniem.

Sally przygryzła wargi i zaczerwieniła się. Rob ma rację, należy uzbroić się w cierpliwość. Strażacy właśnie ustawili potężny podnośnik i zaczęli unosić przód ciężarówki. Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt metalu i skrzypienie sprzętu. Po chwili do Roba i Sally podszedł krępy strażak z twarzą mokrą od potu.

- Zdołaliśmy trochę odsunąć ciężarówkę i wbić między oba pojazdy klin. Teraz spróbujemy wyciąć część drzwi.

Sally zbliżyła usta do szpary.

- Janet! - zawołała, przekrzykując hałas silników i bębniącego o blachę deszczu. - Jestem Sally Jones, lekarka. Zaraz cię stamtąd wydostaniemy.

Z wnętrza auta dobiegł ją cichy szloch. Po dziesięciu minutach zmagania strażacy zdołali odgiąć łomami zdeformowane drzwi.

- Doskonale. - Sally wyrwała z rąk pielęgniarza hełm i włożyła go sobie na głowę. - Na pewno się zmieszczę.

- Napotkała spojrzenie Roba, który spytał o coś strażaka i ze zrezygnowaną miną kiwnął głową.

- I pomyśleć, że przyjechałaś do Drumneedoch znęcona tutejszym spokojem? - Rob nieoczekiwanie się uśmiechnął.

- Janet, zaraz będzie przy tobie doktor Jones - oznajmił, pochylony nad otworem. - Poda ci leki. Już niedługo cię wydobędziemy.

Podniósł Sally tak łatwo, jakby była bukietem kwiatków i przytrzymał ją, gdy zaczęła wsuwać się do wnętrza samochodu.

- Uważaj...

Włożył pod hełm kosmyk jej kasztanowych włosów i nagle skonstatował, że nie powinien obejmować jej w talii.

Sally była szczupła, lecz w pewnych miejscach ładnie zaokrąglona. Przez moment miał przemożną ochotę przytulić ją do siebie. Patrzył na mokry od deszczu policzek ocieniony łukiem rzęs, następnie przeniósł wzrok na pełne, kuszące usta. Zacisnął zęby i niechętnie przywołał się do porządku.

- Sprawdź, jakie odniosła obrażenia - polecił szorstko.

- Zaraz podam ci kroplówkę.

Jeśli nawet Sally zauważyła zmianę tonu jego głosu, to nie miała czasu analizować jej przyczyn. Zanadto była świadoma dotyku silnych dłoni trzymającego ją Roba. Cóż za okazja do fizycznej bliskości, pomyślała, wijąc się wąskim otworze. Z trudem przepchnęła ramiona, oparta obie dłonie o fotel i podciągnęła nogi. W końcu zdołała przykucnąć obok Janet.

Kobieta siedziała pochylona do przodu i kurczowo zaciskała dłonie na kierownicy.

- Dzięki Bogu - jęknęła. - Błagam, proszę mi pomóc. Nie mogę stracić tego dziecka. To będzie moja wina, jeśli coś mu się stanie! Tylko moja!

- Ależ skąd, kochanie. - Sally pogłaskała ją po policzku.

- Niczemu nie jesteś winna i nie masz o co się martwić. Pomożesz swojemu dziecku, jeśli zachowasz spokój. A ja podam ci kroplówkę. Dzięki temu poczujesz się lepiej.

- Czy... urodzę tutaj?

- Me martw się, pierwszy poród trwa dłużej, niż sądzisz

- zapewniła Sally.



W duchu prosiła opatrność, aby tym razem właśnie tak było! Wzięła od Roba rurkę kroplówki i podłączyła ją do ramienia Janet, przez cały czas mówiąc do niej cichym, kojącym tonem.

- Czy coś cię boli, Janet? Na czole masz małe skaleczenie.

- To głupstwo. Uderzyłam głową o wsteczne lustro, ale zablokowała mnie kierownica.

Sally przygryzła wargi. Miała nadzieję, że zderzenie z kierownicą nie spowodowało wewnętrznego krwotoku.

- Wiesz, szybko poznaję twoją rodzinę. - Sally uśmiechnęła się do poblądłej Janet. - Rano udzieliłam pomocy twojej mamie, która skręciła nogę w kostce.

- To była pani? - Janet uśmiechnęła się blado. - Mama powiedziała mi, że spotkała miłosiernego anioła. Właśnie do niej jechałam. Chciałam sprawdzić, jak się czuje. Droga była strasznie śliska i... - Oczy Janet znów wypełniły się łzami, a kolejna fala skurczów sprawiła, że gwałtownie wciągnęła powietrze i mocno ścisnęła dłoń Sally.

Ona zaś wiedziała, że w żaden sposób nie zdoła zbadać tu Janet. A myśl o porodzie w tych warunkach była przerażająca. W samochodzie panował zdumiewający żar i zaduch, z zewnątrz dochodził ryk palników. Sally usiłowała zapomnieć o wiszącej nad ich głowami ciężarówce, która w każdej chwili mogła je zmiażdżyć.

- Jak wygląda sytuacja? - Silny głos Roba dodał Sally otuchy. - Poród jest zaawansowany?

- Skurcze co trzy minuty! - Sally starała sienie ujawniać niepokoju. - Wkrótce rozpocznie się drugie stadium.

- Do Ucha! Powiedz Janet, żeby się tak nie śpieszyła! Ryk palników stawał się coraz głośniejszy. Sally z obawą zerknęła w górę i znów usłyszała Roba:

- Już niedługo, Sally! Strażacy za moment usuną duży fragment auta. Przygotujcie się na szarpnięcie.

Samochód rzeczywiście się zatrząsł, a Janet wbiła palce w ramię Sally. I nagle cały dach wraz z bokiem pojazdu został zerwany jak wieczko konserwy, a do wnętrza wpadło zimne powietrze i strugi ulewnego deszczu. Janet krzyknęła przeraźliwie.

- Dziecko - Zaraz je urodzę!

Sally odsunęła się i Rob jakimś cudem zdołał unieść przerażoną kobietę, po czym wraz z George'em zaniósł ją do karetki. Sally pospieszyła za nimi. W porównaniu z wnętrzem wraku, w karetce panowały luksusowe warunki.

- Jeszcze odrobina wysiłku, Janet, i wkrótce będzie po wszystkim. - Rob uśmiechnął się serdecznie. - Już widzę główkę twojego dziecka.

- Świetnie sobie radzisz. - Sally poklepała Janet po ręce. - Przyciśnij brodę do mostka i mocno przyj!

Rob wymacał pępowinę i natychmiast stwierdził, że jest owinięta wokół szyi noworodka. Błyskawicznie założył zacisk i przeciął pępowinę, a już po chwili trzymał w dłoniach małą istotkę.

- Masz piękną córeczkę, Janet - oznajmił. Noworodek wyglądał bardzo delikatnie. Nie ruszał się

i przez długą chwilę nie wydawał żadnego dźwięku. Sally pospiesznie owinęła maleństwo, a Rob wsunął do jego buzi małą rurkę i zaczął odsysać płyn. Janet patrzyła na nich zaniepokojona.

- Nic jej nie jest? - szepnęła. - Dlaczego nie płacze?

- Muszę oczyścić jej gardło - wyjaśnił Rob.

- Nie martw się, Janet, to nic poważnego - zapewniła Sally. - Często się zdarza, że przychodzące na świat dzieci wciągają do tchawicy trochę płynu. - Spojrzała pytająco na Roba, który trzymał przy ustach i nosie noworodka maskę tlenową.

- W skali Apgara tylko cztery punkty - mruknął.

Skala ta jest oceną stanu fizycznego i żywotności noworodka. Sally wiedziała, że ten wynik nie jest dobry. Zaciśnęła zęby, rozpaczliwie modląc się, aby dziecko zapłakało i zaczęło oddychać. I nagle w karetce rozległo się kwilenie, a buzia dziecka zaróżowiła się, gdy jego organizm został dotleniony.

Sally i Rob spojrzeli na siebie z uśmiechem.

- Gratulacje, Janet! Mała panna Buchan jest śliczna i ma niezmiernie silne płuca! - Rob uśmiechnął się do wyczerpanej pacjentki i położył na jej piersi płaczące maleństwo.

Sally poczuła pod powiekami łzy radości. Narodziny dziecka zawsze bardzo ją wzruszały, a ten przypadek był wręcz zadziwiający. Ledwie była w stanie uwierzyć, że zdołali wydobyć Janet żywą z rozbitego auta, nie mówiąc o prawidłowym porodzie.

- Och, tak bardzo wam dziękuję - powtarzała Janet raz po raz. - Moja maleńka dziewczynka... Gdyby nie wy...

- Przecież to ty wykonałaś najcięższą robotę - stwierdzi! Rob. - Ale następnym razem zdecyduj się na poród w szpitalu!

Karetka zabrała uszczęśliwioną matkę i dziecko do szpitala w Inverness, gdzie noworodka miał zbadać pediatra. Drugim ambulansem odjechał kierowca ciężarówki. O dramacie, który niedawno rozegrał się na drodze, świadczyły tylko dwa rozbite pojazdy i przygnębiony policjant, który musiał zorganizować przewóz stada owiec.

- Mało brakowało - przyznał Rob, ściągając chirurgiczne rękawiczki. - Noworodek wchłonął trochę smółki. Cale szczęście, że mogliśmy przenieść Janet do karetki z odpowiednim wyposażeniem.

- To cud, że wszystko poszło tak dobrze. Dzięki tobie. Rob.

- Przeciwnie, to twoja zasługa. Gdybyś nie dotarła do Janet, sytuacja mogłaby wyglądać inaczej.

- Pracowaliśmy w zespole, zapomniałeś? Uśmiechnął się do niej, a jego niebieskie oczy zalśniły.

Miał brudną, moką twarz i posklejane od deszczu włosy. Zapewne byt tak samo wykończony jak Sally, lecz mimo to nagle przeskoczyła między nimi jakaś iskra. Ogarnęła ich nieopisana radość, która stała się nagrodą za szaleńczy wysiłek.

Serce Sally-zaczęło bić w przyspieszonym tempie. Rob był tak blisko. Czowała jego silne ciało tuż przy sobie, ciepły oddech na policzku, a jej rozwiane na wietrze włosy muskały jego twarz. Cztery minione lata przestały się liczyć. Sally odniosła wrażenie, że cofnęła się w czasie. Patrzyła w nagle pociemniałe oczy Roba, a on szybko wciągnął powietrze i dotknął ustami jej warg.

Był to delikatny pocałunek, zaledwie muśnięcie. Sally przymknęła powieki, objęła Roba i przyłgnęła do niego całym ciałem. Poczwała, że zareagował na tę bliskość. Leciutko rozchyliła usta, lecz Rob raptownie się odsunął. Zaskoczona otworzyła oczy i patrzyła na niego, gdy szedł do samochodu. Otworzył drzwi i odwrócił się, oddychając głęboko.

- Już późno - oświadczył obojętnym tonem, zerknąwszy na zegarek. - Muszę odebrać chłopców od Liz. Podwożę cię do wynajętego dla ciebie domku. Sąsiaduje z przychodnią, więc będziesz mieć blisko do pracy. Jutro przedstawię cię naszemu personelowi.

Chemie zapadłaby się ze wstydu pod ziemię. Jak mogła tak się zachować? Przecież Rob jest żonaty! Po wspólnie wykonanym zadaniu dał jej

przyjacielskiego całusa, a ona potraktowała to jako preludium do namiętnych pieszczot! Czuła, że policzki jej płoną. Co Rob sobie o niej pomyśli?

Widocznie to nieoczekiwane spotkanie całkiem wytrąciło ją z równowagi. Postępowała tak, jakby oboje nadal mieszkali w Manchesterze i byli wolni. Rozpaczliwie usiłowała znaleźć jakiś sensowny powód swojego dziwnego zachowania.

Może było konsekwencją stresu, w jakim żyła przez kilka lat? Może podświadomie bardzo pragnęła odrobiny uczucia? Ale cokolwiek nią kierowało, nie powinno tak się objawiać. Rob dał jej jasno do zrozumienia, że nie jest nią zainteresowany. Miała tylko nadzieję, że szybko zapomni o tym niefortunnym incydencie. Nie mogliby razem pracować, gdyby sądził, że ona próbuje go uwieść.

Zacisnął dłonie na kierownicy. Co dzisiaj w niego wstąpiło? Przez trzy lata nawet nie spojrzął na żadną kobietę, nie mówiąc o jakimkolwiek romansowaniu. Wprawdzie nie brakowało mu wielbicielek, lecz żadnej nie dał się skusić. Wystarczy, że zniszczył życie jednej kobiety. Nie zamierzał po raz drugi popełnić takiego błędu. Wymagało tego dobro synów.

I nagle zjawiała się ona: piękna Sally, o której tak bardzo pragnął zapomnieć, gdy z nim zerwała. Później doszedł do wniosku, że nie ma tego złego... Problemy rodzinne okazały się poważniejsze, niż sądził. W tej sytuacji i tak musiałyby rozstać się z Sally.

Przeczesał palcami wilgotne włosy. Parę minut temu niemal się zapomniał. Ale było tak cudownie znów poczuć przy sobie Sally, przypomnieć sobie smak jej ust...

Ledwie zdołał wziąć się w garść. W przyszłości musi trzymać się w odpowiedniej odległości od Sally i skoncentrować uwagę wyłącznie na ich współpracy!

Do domku Sally jechali w milczeniu, jak gdyby byli dwojgiem obcych sobie ludzi. Sposób, w jaki Rob potraktował jej awanse, przyćmił przeżycia związane z ratowaniem matki i dziecka. W tej chwili Sally mogła myśleć tylko o tym, jak bezwstydnie padła w jego ramiona.

Skrepowana jak nigdy dotychczas, pragnęła jak najszybciej znaleźć się u siebie, zrobić sobie filiżankę herbaty i zwinąć się w kłębek na łóżku, aby zapomnieć o frustrującym incydencie.

- Chyba jesteś bardzo zmęczona.

Niski głos Roba zabrzmiał w ciszy tak nieoczekiwanie, że Sally się wzdrygnęła.

- Nie bardziej niż ty - odparła lekkim tonem. Była zadowolona, że Rob się odezwał. - Twoja siostra pewnie nakarmiła chłopców?

- Tak, ale muszę położyć ich spać. Nie robię tego tak dobrze jak Ellie.

To dziwne, przemknęło Sally przez głowę, że po całym dniu ciężkiej pracy Rob musi zająć się obowiązkami domowymi. Ciekawe, jaki jest udział Zoe w wychowywaniu dzieci?

- Czy twoja żona nie może się tym zająć? - spytała i natychmiast tego pożałowała.

W aucie zapadło niemal grobowe milczenie. Gdy Rob w końcu się odezwał, jego głos zabrzmiał szorstko.

- Moja żona nie żyje od trzech lat. Zginęła w wypadku drogowym. Dlatego Ellie z nami mieszka.

Sally z wrażenia tak głośno wciągnęła powietrze, że Rob odruchowo na nią spojrzał.

- Wybacz - rzekł beznamiętnym tonem. - Nie chciałem cię zaszokować. Po prostu nadal nie umiem mówić o tym w bardziej oględny sposób.

- To straszne - szepnęła Sally. Przypomniała sobie fotografię pięknej dziewczyny tulącej niemowlęta. - Musi ci jej bardzo brakować.

- Najważniejsze dla mnie jest dobro Bena i Charliego. Dzięki pomocy Ellie wszystko układa się dobrze. Ale teraz, gdy przez parę tygodni Ellie będzie skakać na jednej nodze, sytuacja trochę się skomplikuje. Muszę coś wymyślić.

- Chyba... nie jest ci łatwo.

- Daję sobie radę.

Najwyraźniej nie chciał, aby się nad nim użalano. Sally spojrzała na niego. Miał taką minę, jakby usiłował zdusić wszelkie emocje. Widocznie wciąż nie pogodził się ze stratą swojej młodej, wspaniałej żony.

Jechali teraz przez wieś. Na uliczkach już paliły się latarnie. Po chwili Rob skręcił w podjazd przed kamiennym domkiem z czarnym łupkowym dachem.

- Oto twoja nowa rezydencja - oznajmił niemal wesoło. - Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Nadal ogłuszona wieścią o śmierci jego żony, Sally poszła za nim wąską ścieżką. Rob niósł walizki, które wcześniej przełożyli do jego samochodu. Gdy wreszcie otworzył drzwi i zapalił światło, Sally ujrzała uroczy salonik z obitymi kretonem meblami i zasłonkami z tej samej tkaniny. Wnętrze wyglądało przytulnie i zapraszająco.

- Jak tu ładnie - przyznała szczerze.

- Lodówka chyba jest pełna, lecz gdybyś czegoś potrzebowała, to tutaj masz numer mojego telefonu.

Stał na progu, jakby marzył tylko o tym, aby stąd umknąć. Może się objawia, że znów na niego się rzucę, pomyślała Sally.

- Dzięki, Rob. Do zobaczenia jutro.

- Dobranoc - mruknął, przesuwając spojrzeniem po jej smukłej sylwetce i potarganych włosach. Sally odniosła wrażenie, że na wargach Roba pojawił się smutny uśmiezek.

Po wyjściu Roba poszła do łazienki i odkręciła krany nad wanną. Zamierzała odreagować stres, mocząc się w ciepłej wodzie z pianą. Miała za sobą bardzo wyczerpujący dzień. Popatrzyła na swe odbicie w lustrze i stwierdziła, że jest przeraźliwie blada i ma podkrążone oczy.

Z jakiegoś niepojętego powodu nagle wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach. Oparła czoło o chłodne kafelki i zaczęła się zastanawiać, dlaczego płacze. Może ze zmęczenia lub dlatego, że dowiedziała się o śmierci Zoe... Cóż za głupota płakać z powodu osoby, o której istnieniu dowiedziała się dopiero dziś. Przypomniała sobie dwóch małych chłopców i Roba... To oczywiste, że on nadal kocha Zoe; wciąż nie jest w stanie o niej rozmawiać.

Sally wyprostowała się i znów spojrzała w lustro. Tym razem wyczytała ze swych oczu prawdę. Nagle zrozumiała, że płacze z żalu za tym, co utraciła, zrywając z Robem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- To niewiarygodne - oświadczyła Liz Fordyce. - Ten mój brat jest okropny. Myślałam, że wczoraj przywiezie cię do nas na kolację. Dlaczego tego nie zrobił?

Sally zaczerwieniła się. Nie mogła powiedzieć, że chciał jak najszybciej uwolnić się od niej, przerażony jej nachalnością!

- Cóż, oboje byliśmy strasznie zmęczeni - odparła oględnie. - A Rob jeszcze musiał zająć się chłopcami.

- Powiedziałabym raczej, że byliście wykończeni - dramatycznie oznajmiła Liz. A ty zostałam naszą bohaterką, prawda, Wynn? Wszyscy w Drumneedoch pragną poznać lekarkę, która uratowała Janet Buchan i jej maleństwo!

Liz, Wynn i Sally właśnie piły kawę w małej kuchence obok recepcji przychodni. Rob przedstawił Sally Wynn Lawson, pulchnej recepcjonistce w drucianych okularach, i pojechał do pacjenta. Wynn była niezwykle przejęta wczorajszymi wydarzeniami. Jej oczy lśniły, gdy opowiadała o wizycie dziennikarzy z redakcji miejscowej gazety, którzy rano pytali o szczegóły.

- Możliwe, że artykuł ukaże się w prasie na terenie całego kraju. W przyszłym tygodniu przyjedzie ich fotograf, żeby zrobić zdjęcie tobie i doktorowi Robowi. Mają je zamieścić w następnym numerze.

- Sally wkrótce będzie rozdawać autografy. W jeden dzień stałaś się sławna - ze śmiechem stwierdziła Liz i wstała. - Muszę lecieć i zrobić zakupy. Później moje dzieci idą na mecz piłkarski, więc czeka mnie kibicowanie. Mam nadzieję, że odwiedzisz nas w najbliższym czasie, Sally. Stuart bardzo chciałby cię poznać.

- Przemiła osoba - zauważyła Sally, odprowadzając Liz wzrokiem. - Serdeczna i bezpośrednia.

- To prawda. - Wynn wstawiła kubki do zlewu. - Liz i doktor Rob są sobie bardzo bliscy. Ona zawsze potrafi go rozruszać. Rob czasem miewa swoje humory i wtedy wolimy schodzić mu z drogi. Ale trzeba przyznać, że wiele przeszedł. - Wynn westchnęła ciężko.

Na myśl o tragedii, którą przeżył jako młody mąż, Sally poczuła, że dławi ją w gardle.

- Na pewno nie jest mu łatwo. Pracuje i wychowuje dzieci. Krótko cieszył się swoim małżeństwem.

- To prawda - ponuro przyznała Winn. - Boryka się z problemami od czasu, gdy wrócił z Manchesteru. Zaczęło się od tych kłopotów z ojcem.

- Z ojcem?

Wynn szybko rozejrzała się wokół, jakby sądziła, że ktoś może je podsłuchiwać.

- Cóż, starszy doktor MacKay wpadł w finansowe tarapaty. Rob musiał wkroczyć do akcji, żeby dom nie poszedł pod młotek. To było okropne. - Wynn zniżyła głos do teatralnego szeptu. - Doktor MacKay całkiem się załamał i już nie mógł praktykować. Dlatego jego syn rzucił wszystko i przyjechał zająć jego miejsce. Ale to nic w porównaniu z tym, co zdarzyło się później!

W tym momencie Sally uznała, że lepiej położyć kres wyznaniom Wynn. Oczywiście chętnie zadałaby jej milion pytań na temat swego nowego szefa, lecz nie chciała wtykać nosa w cudze sprawy.

- Obiecałam Robowi, że zacznę przyjmować jego pacjentów o dziewiątej trzydzieści. - Sally znacząco spojrzała na zegarek. - W sobotę rano są tylko nagłe przypadki, prawda?

Wynn z powagą skinęła głową.

- Nie powinno być dużo pracy. Wszyscy szykują się na ten popołudniowy mecz. Nasi grają z drużyną ze Strathpeffer, później kibice trochę popiją i najgorzej poczują się w poniedziałek rano.

- Wynn, przyślij pierwszą osobę.

Do gabinetu weszła starsza, zadbana pani w eleganckim tweedowym kostiumie i brązowym kapeluszu. Była blada i niewątpliwie cierpiała. Przygryzając wargi, ostrożnie usiadła na krześle.

- Dzień dobry. Pani Marchant, prawda? - spytała Sally. - Co pani dolega?

- Nie wiem, od czego zacząć. To trochę krępujące. - Kobieta bezradnie potrząsnęła głową.

Sally sprawdziła w komputerze dane dotyczące leczenia pacjentki. Nie było ich dużo. Pani Marchant niewątpliwie nie przychodziła do lekarza z byle powodu. Teraz mocno zaciskała splecione dłonie, a na jej czole lśnił pot.

- Odnoszę wrażenie, że coś panią boli. Proszę mi powiedzieć, w czym rzecz. Na pewno nic mnie nie zdziwi.

- Wiem, że to śmieszne, gdy dorosły człowiek boi się przyznać lekarzowi do swojej dolegliwości. - Pani Marchant zaśmiała się niepewnie, - Ale wolę porozmawiać o tym z panią niż z doktorem Robem. Chyba od dawna mam



guzki krwawnicze. Próbowałam sama się leczyć, ale... Jestem dyrektorką szkoły, a wczoraj w pracy omal nie zemdlałam z bólu.

Sally posłała kobiecie współczujące spojrzenie. Wiedziała, jak trudno jest niektórym pacjentom przyznać się do hemoroidów - schorzenia często spotykanego i bardzo bolesnego. Pani Marchant zapewne długo z tym zwlekała. Przyjście tutaj wymagało więcej odwagi niż wycieczka z grupą nieznosnych dzieci na szkockie wrzosowiska!

- A więc ból daje się we znaki już od pewnego czasu? - łagodnie spytała Sally. - Biedactwo! Ucieszy panią wiadomość, że obecnie istnieją skuteczne metody leczenia tego stanu, często bez potrzeby wykonania zabiegu chirurgicznego. Chciałabym teraz panią zbadać.

Po badaniu pani Marchant wyraźnie się rozpogodziła.

- Trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem pani wdzięczna, doktor Jones. Czuję się znacznie lepiej, a już zaczynałam wątpić, czy to w ogóle możliwe. I proszę nie myśleć, że nie poszłam do doktora MacKaya, ponieważ nie uważam go za dobrego lekarza. Przeciwnie, sędzę, że jest wspaniałym profesjonalistą, ale... kiedyś był moim uczniem, a teraz jego siostra uczy w mojej szkole. Traktuję go bardziej jak syna niż lekarza.

- Doskonale rozumiem. Dam pani skierowanie do chirurga, który zdecyduje, jaka terapia będzie w pani przypadku najbardziej odpowiednia. Wkrótce pani zapomni o tej dolegliwości.

Odprowadziła wzrokiem wychodzącą pacjentkę, która teraz poruszała się trochę bardziej energicznie niż pół godziny temu. A lepsze samopoczucie było głównie psychologicznym skutkiem faktu, że powiedziała komuś o swoim problemie!

Sally wprowadziła do komputera informacje dotyczące dzisiejszej porady. Jakie to smutne, pomyślała, że chorzy ludzie tak często nie są w stanie opowiedzieć lekarzowi o niepokojących objawach. Boją się lub są zbyt skrepowani i czasem płacą za to wysoką cenę.

Z zadumy wyrwało Sally pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

W progu stanął Rob. Miał trochę zakłopotaną minę. Sally drgnęła zaskoczona i wstała, a jej serce - jak zwykle, gdy patrzyła na Roba - zaczęło bić dużo szybciej. Dzięki ploteczkom z Wynn wiedziała więcej o życiu Roba po jego wyjeździe z Manchesteru. Lecz informacje recepcjonistki, choć wypełniły pewne luki, dodatkowo zaostrzyły ciekawość Sally.

- Wpadłem zobaczyć, jak ci idzie. - Przesunął wzrokiem po jej zgrabnej figurze, podkreślonej krojem widocznego spod fartucha, dopasowanego szarego kostiumu z blad różową jedwabną bluzką. W tym stroju Sally wyglądała elegancko i niezmiernie seksownie! - Czyżby była u ciebie Olga Marchant? Nie widziałem jej tu od wieków! - dodał po chwili milczenia.

Chwała pacjentom za ich istnienie, z wdzięcznością pomyślała Sally. Rozmowa o nich może wybawić człowieka z opresji, gdy jest zakłopotany. Westchnęła w duchu. Dystans Roba jest chyba rezultatem wczorajszego incydentu. Pragnęła jak najszybciej zapomnieć o dręczącym ją wstydzie.

- Ta miła pani ma hemoroidy w zaawansowanym stadium - odparła. - Powinna była już dawno pójść do lekarza, ale miała opory.

- Nie chciała leczyć się u mnie ani u Lorny, prawda? - Rob pokiwał głową.  
- Oto jedna z ujemnych stron praktykowania w miejscu, gdzie lekarz się wychował. Jego pacjenci za dobrze go znają. Jak jej pomogłaś?

- Lekko wsunęłam wypadające guzki, poradziłam stosowanie okładów z lodu i dałam skierowanie do chirurga. Wyszła stąd w dużo lepszym humorze, zadowolona również z tego, że wreszcie mogła komuś powiedzieć o swoim kłopotcie.

Rob skinął głową.

- Gdy ją ostatnio widziałem, rzeczywiście wyglądała marnie. Może teraz nie będzie zwlekać z następną wizytą u lekarza.

Wcale nie myślał o tym, co mówi. Obserwował grę światła na włosach Sally, które w promieniach wpadającego przez okno słońca wydawały się złocistorude. Dzisiaj były uczesane w gładki kok, co uwydatniało wysoko sklepione kości policzkowe i pełne wargi Sally. Dwa słowa, które natychmiast przyszły mu do głowy, brzmiały „godna pożądania”.

Jęknął w duchu. Jak, u licha, ma trzymać się od niej z daleka? Przez całą noc myślał tylko o jej ciepłym, przytulonym do niego ciele. Doprowadzało go to do szaleństwa.

Odetchnął głęboko i zmusił umysł do rezygnacji z rozpamiętywania kuszących okragłości Sally.

- Moja siostra dała mi reprimendę, ponieważ wczoraj nie przywiozłem cię na kolację. Wybacz. Na pewno umierałaś z głodu.

- Jakoś przeżyłam - odparła lekkim tonem. - Lodówka była pełna. A domek jest cudowny, nie mówiąc o tym pięknym widoku na zatokę.

- Mimo to chciałbym się zrehabilitować w twoich oczach. W sobotę po dyżurze zawsze idę z chłopcami na lunch. Obaj uznali, że musisz pójść z nami. Zrobisz im tę przyjemność?

Sally zauważyła, że położył nacisk na słowo „im”. Dawał więc jasno do zrozumienia, że zaprasza ją tylko z powodu dzieci.

- Z radością znów ich zobaczę - przyznała szczerze. - Dali mi kilka cennych rad dotyczących makijażu, a poza tym jestem głodna!

- Uprzedzam, że moje dzieciaki nie lubią wyrafinowanych potraw. - Na wargach Roba zaigrał cień uśmiechu. - Uwielbiają rybę z frytkami, a na deser lody. Przyjdę po ciebie za godzinę.

Kilku następnych pacjentów zajęło Sally niewiele czasu. Chodziło o opatrzenie drobnych zranień, a w jednym przypadku - usunięcie z palca drzazgi. Sally właśnie zamierzała zamknąć gabinet, gdy zjawiła się nieco zirytowana Wynn.

- Przyszła kobieta z trojgiem dzieci, ale chyba nie należy jej przyjąć.

- Dlaczego? - ze zdumieniem spytała Sally.

- Cóż, w soboty zajmujemy się tylko nagłymi przypadkami - oświadczyła Wynn - a te dzieciaki są zdrowe. Ona tylko chce, żeby je zaszczepić.

- Nie może zaprowadzić ich do dziecięcej przychodni?

- Właśnie to zasugerowałam, ale ta kobieta z uporem twierdzi, że tam nie pójdzie, a jej dzieci potrzebują szczepień, więc chodzi o nagły przypadek!

- Przyślij ją tutaj. - Sally wzruszyła ramionami.

To jeszcze prawie dziecko, pomyślała na widok młodej matki w zaawansowanej ciąży. Dziewczyna była chuda i ubrana nieodpowiednio do pogody w długą, kretonową spódnicę oraz podarty sweterek. Potargane włosy otaczały bladą twarz, w której dominowały wielkie, podkrążone oczy. Kobieta trzymała na ręce niemowlę, a drugą ręką ciągnęła za sobą protestującego malucha. Za nią dreptało starsze, na oko sześciolatnie dziecko. Wszystkie wyglądały niechlujnie - miały brudne buzie i zasmarkane nosy, ale sprawiały wrażenie dobrze odżywionych. Dziewczyna z ulgą opadła na krzesło, a mały chłopczyk zaczął wdrapywać się jej na kolana.

- Nie pchaj się, Gideon - rzekła beznamiętnym tonem - bo obudzisz Samuela.

Sally zdumiały te biblijne imiona. Nie podejrzewałyby młodej osoby o taki nobliwy wybór.

- Podobno pragnie pani zaszczepić dzieci? - spytała z uśmiechem. - Można to zrobić w dziecięcej przychodni, gdzie pielęgniarka sprawdzi stan ich zdrowia.

Dziewczyna gwałtownie pokręciła głową.

- Tam nie przyjmują w sobotę, a ja nie mogę przyjść kiedy indziej.

- Proszę podać mi swoje nazwisko. Wyciągnę pani kartę.

- Po co komu moje nazwisko? ~ Dziewczyna spojrzała na Sally podejrzliwie. - Ja tylko chcę szczepić dzieciaki.

- Muszę wpisać w ich karty podstawowe dane. Dziewczyna wstała i zmierzyła Sally wyzywającym spojrzeniem.

- Nas nie ma w tym... komputerze. My bez zapisu.

- Prawdopodobnie mogę was zapisać. Mieszkacie w tej okolicy?

- Zrobi panusia te szczepienia czy nie? - warknęła dziewczyna i przygryzła wargi. Niespokojnie rozejrzała się po gabinecie, jakby się obawiała, że ktoś podsłuchuje. - Mój chłop nie wie, że tu jestem, jasne? On nie wierzy w doktorów. Mówi, że Bóg wszystko uleczy. Ale w zeszłym roku umarła na koklusz moja siostra. Nie chcę tego dla moich dzieciaków. Benjamin, czyli mój chłop, pojechał dzisiaj do Firth, więc przyszedłem. On by mnie zabił, jak by wiedział.

- Jak się nazywasz? - łagodnie spytała Sally.

- Beth Piper, ale niech panusia nikomu nie mówi, że tu byłam, dobrze?

- Nie powiem, Beth. Jesteś pewna, że Benjamin nie zgodziłby się na szczepienie dzieci?

- Lepiej nie spierać się z Benjaminem.

- W porządku, Beth. Zaszczepię twoje dzieci, między innymi przeciwko kokluszowi, ale w późniejszym terminie trzeba będzie im podać dawkę wspomagającą. Po dzisiejszym zabiegu mogą mieć nieco podwyższoną temperaturę lub lekki katar, ale poza tym wszystko będzie dobrze. Gdyby jednak gorączka utrzymywała się dłużej niż sześć godzin, musisz skontaktować się ze mną. Jesteś zdecydowana?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak. Chcę, żeby miały to co inne dzieciaki. W razie czego jakoś tu przylezę.

- Jeszcze jedno, Beth. - Sally podeszła do lodówki, by wyjąć szczepionki. - Może zgodzisz się, żebym przy okazji zbadła ci krew? Jesteś w ciąży i wyglądasz blado. Sprawdziłabym, czy nie masz anemii.

- Nie trzeba. Jak mam... to, co paniusia powiedziała, to i tak nie będę brać tabletek. Benjamin strasznie by się wściekł, jak by je znalazł. Więc tylko dzieci, proszę.

Gdy Sally skończyła dyżur, Ben, Charlie i Rob już na nią czekali w recepcji. Chłopcy mieli na sobie stroje Supermana - czerwone peleryny i rajstopy oraz niebieskie kamizelki i maski. Wyglądali tak ślicznie, że Sally musiała ich uściskać.

- Jesteście wspaniali! - zawołała. - Dokąd zaprowadzi mnie wasza magia?

- Do „Płastugi” - oświadczył Ben. - Jest tam stolik tylko dla nas!

- To psy akwarium - zapiszczał Charlie. - Z dużą, białą rybą, którą trzeba zabić! - dodał złowrogo.

- Jak widzisz, moi synowie mają krwiożercze skłonności.

- Rob uśmiechnął się kwaśno. - Dlatego nigdy nie kupię im złotej rybki. Ciskaliby w nią harpunem.

Sally wzięła dzieci za ręce i w czwórkę poszli do małej restauracji tuż nad zatoką. W niedużej sali stały stoliki przykryte obrusami w biało-czerwona kratkę, a pod sufitem wisiały pułapki do łowienia homarów i rybackie sieci.

- Witam naszych ulubionych gości! - Z zaplecza wynurzył się przysadzisty mężczyzna w śnieżnobiałym fartuchu.

- Czekamy na was już od rana! Wiecie, gdzie są wasze miejsca, chłopcy. Zaprowadźcie tam panią.

Bliźniacy w podskokach pobiegli do stolika przy oknie, ciągnąc za sobą Sally. Usiadła i z przyjemnością rozejrzała się wokół.

- Jak tu ładnie. - Spojrzała na lśniąca w słońcu tafel zatoki. Na wodzie kołysało się kilka zacumowanych żaglówek.

Rob stanął obok właściciela.

- Luigi, to moja nowa zastępczyni, doktor Sally Jones. Sally, poznaj Luigię. Jest jedynym Włochem, który potrafi przygotować szkocką rybę lepiej niż rodowity Szkot!

Luigi skłonił się z wdziękiem.

- Nie musi mi pan przedstawiać tej pięknej pani - oświadczył rozpromieniony. - Przecież to ona wczoraj pomogła wnuczce Ellie! Ellie to moja bratowa, więc mam za co dziękować. Dzisiaj jesteście moimi gośćmi. Wszystko na koszt firmy, z butelką najlepszego frascati włącznie! A ten człowiek... - Luigi wskazał dłonią Roba - to najlepszy lekarz w Szkocji! Cała moja rodzina do niego chodzi!

- Prawie połowa moich pacjentów to krewni Luigiego... Twarz Roba rozjaśniła się ciepłym uśmiechem, a Sally pomyślała, że właśnie taki był Rob cztery lata temu. Wesoły i serdeczny.

Ryba z frytkami okazała się naprawdę pyszna. Frytki były złociste i chrupiące, a delikatne mięso plastugi dosłownie rozpływało się w ustach. Sally z rozbawieniem patrzyła na bliźniaków. Wycisnęli na swoje talerze ogromne porcje keczupu i po chwili obaj mieli czerwone wąsy. Jedli z apetytem, nieustannie paplając. Byli beztrojskimi dzieciakami, nieświadomymi rodzinnej tragedii.

- Kto będzie zajmował się chłopcami, dopóki Ellie nie odzyska formy? - zapytała Sally, myśląc, że Rob wygląda na zmęczonego. Odbył parę wizyt domowych i przyjął kilku pacjentów.

- To zdumiewające, ile można zdziałać nadludzkim wysiłkiem. - Uśmiechnął się blado. - Udało mi się załatwić dla nich miejsce w przedszkolu przy szkole podstawowej, w której pracuje moja siostra. Oczywiście zapewniłem, że moje bliźniaki są spokojne i grzeczne! Ellie już jest w domu. Nosi elastyczny bandaż, ale w nocy da sobie radę, gdybym miał dyżur. Nie jest to optymalne rozwiązanie, przywykłem jednak do takiej improwizacji.

- Chcę zobaczyć dzidziusia Janet - oznajmił nagle Ben. - Ellie mówi, że możemy. Wezmę go na rower!

Rob pieszczotliwie zmierzwił czuprynę synka.

- Obiecuję, że pojedziemy odwiedzić Janet. Ona zapraszała również Sally. Wybierzesz się z nami?

- Oczywiście. Jestem ciekawa, jak obie się czują. Sally popatrzyła na ulicę. W stronę zatoki szła znajoma dziewczyna z trojgiem dzieci, której towarzyszył gburowato wyglądający mężczyzna. Chyba się kłócili. Mężczyzna groził dziewczynie palcem, a ona coś pokrzykiwała. Wiatr sprawiał, że jej cienka spódnica co chwilę przyklejała się do nóg.

- Rob, ona dzisiaj była u mnie. Wiesz coś o tej rodzinie? Wyrzwał przez okno i gniewnie prychnął.

- To ten łobuz Benjamin Piper. Twierdzi, że żyje po bożemu, traktuje swoich bliskich jak śmieci. Mieszka w nędznym domku na wybrzeżu i żyje z zapomóg, ale nie weźmie się do żadnej roboty, żeby utrzymać rodzinę. A Beth spodziewa się czwartego dziecka.

- Skąd ich znasz? Beth mi powiedziała, że mąż nie pozwala jej chodzić do lekarza.

- Kilkakrotnie opatrywałem jej rany, kiedy znaleziono ją pobitą w pobliżu ich domku - rzeki Rob przyciszonym głosem.

- To straszne! To on ją pobił? Rob wyraźnie się zasepił.

- Jesteśmy pewni, że jej mąż, ale ona nigdy nie złożyła skargi. Uparcie twierdziła, że upadła i się potłukła. Z jakiegoś niepojętego powodu ten typ ma nad nią władzę. Pracownicy opieki społecznej mają na nich oko, ale Benjamin Piper to agresywny cham, który nikogo nie dopuszcza do swojej rodziny. - Rob odprowadził Piperów wzrokiem. - Dziwię się, że Beth przyszła do przychodni. Może właśnie z tego powodu się kłóca. Benjamin pewnie się dowiedział i dostał furii. Mam co do niego złe przeczucia. Ten facet to bomba zegarowa, która kiedyś wybuchnie.

Sally obserwowała skrecającą za róg rodzinę.

- Jakie to smutne - mruknęła. - Ta dziewczyna chyba naprawdę kocha swoje dzieci, ale jest taka młoda. W tym wieku nie powinna mieć tylu obowiązków.

Przy stoliku znów zjawił się Luigi.

- Mam prośbę, doktorze - oświadczył, zacierając ręce. - Belle, moja żona, przygotowała małą niespodziankę dla maluchów. Mogę ich na chwilę porwać?

- Tak! Tak! - zapiszczeni chórem, zanim Rob zdążył odpowiedzieć, po czym zerwali się z krzeseł i chwycili Luigiego za ręce. - Co to takiego?

Mężczyzna z tajemniczą miną mrugnął do Roba i Sally.

- Zaraz sami zobaczycie - oznajmił i poprowadził ich w stronę zaplecza.

Sally i Rob zostali sami. Oboje milczeli. Sally odniosła wrażenie, że znów są skrepowani z powodu wczorajszego incydentu. Dyskretnie zerknęła spod rzęs na Roba. Ciekawe, co o niej sądzi. Po odejściu dzieci natychmiast zamknął się w sobie. Nic dziwnego, skonstatowała, pewnie go przeraziłam! Poczula, że rumieni się ze wstydu i odwróciła głowę do okna.

Rob w zadumie przyglądał się profilowi Sally.

- Jak dowiedziałaś się o pracy w naszej przychodni? - spytał nagle, obracając w palcach kieliszek z musującym winem; drobniutkie bąbelki pomknęły w górę. - Szukaliśmy kogoś od zaraz, więc nawet nie zamieściliśmy ogłoszeń w medycznej prasie. Wieści stąd chyba błyskawicznie docierają do Manchesteru!

Sally popatrzyła ponad ramieniem Roba na emanujący spokojem pejzaż: łódzie w zatoce, kołujące mewy, delikatne, pierzaste chmurki na niebie. Czula, że coraz bardziej oddala się od domu i związanych z nim wspomnień.

- Moja przyjaciółka Julie zna Lomę Beckwith. To ona wspomniała jej o tym zastępstwie. - Sally zaczęła machinalnie składać papierową serwetkę. - Przyjechałam tutaj głównie dlatego, że potrzebowałam zmiany. Od... dawna opiekowałam się moją matką- Miała Alzheimera, więc prowadziłam dość wyczerpujący tryb życia.

- Twoja matka cierpiała na Alzheimera? Jak długo to trwało?

- Jej stan bardzo się pogorszył cztery lata temu.

- Czyżby zdarzyło się to wtedy, gdy wyjeżdżałem z Manchesteru? - Na czole Roba pojawiła się zmarszczka.

Sally milczała, a w jego niebieskich oczach nagle błysnęło zrozumienie.

- Dlatego ze mną zerwałaś? - spytał cicho. - Czemu mi nie powiedziałaś? Myślałem, że coś nas łączyło.

Mocno splotła dłonie i westchnęła.

- Chciałbyś mi pomóc, gdybyś wiedział. Nie mogłam tego od ciebie wymagać. To był mój problem i sama musiałam sobie z nim radzić.

Zacisnął wargi, a na jego policzku zadrgał mięsień.

- Czyli ta cała gadka o pracy była tylko dymną zasłoną? Gdy skinęła głową, twarz Roba złagodniała.

- Chyba było ci bardzo ciężko, prawda? Wzruszyła ramionami.

- Na szczęście mogłam brać dyżury w dowolnym czasie. Kiedyś poprzysięgłam sobie, że sama będę troszczyć się o matkę. Moje studia kosztowały ją wiele wyrzeczeń, bo ojciec już nie żył. Bardzo ją kochałam. Umarła dwa miesiące temu. Oczywiście spodziewałam się tego, a jednak bardzo przeżyłam jej odejście. Trudno pogodzić się ze śmiercią kogoś bliskiego.

- Dobrze cię rozumiem.

Sally drgnęła. Jak mogła być taka gruboskórna? Przecież Rob stracił żonę!

- Postanowiłaś więc całkiem zmienić otoczenie? Dzielna z ciebie dziewczyna - przyznał z podziwem.

- Uznałam, że dobrze mi zrobi morskie powietrze.

- Morskie powietrze, szalejące burze, śnieg wczesną jesienią - odparł z uśmiechem. - Tutaj nic cię nie ominie.

Zaśmiała się, wypła łyk wina i odchyliła się do tyłu.

- Drumneedoch to urocze miejsce. Nie przerazi mnie żadna burza!

- Powinienem był skontaktować się z tobą po odejściu ze szpitala - rzekł Rob po chwili milczenia. - Ale oboje borykaliśmy się wtedy z problemami rodzinnymi.



- Pamiętam, że wspomniałeś o jakimś domowym kryzysie, ale nie powiedziałaś, o co chodzi.

- Sam nie byłem pewien, dopóki tu nie wróciłem. Okazało się, że mój ojciec chciał finansowo pomóc przyjacielowi i podjął fatalną w skutkach decyzję dotyczącą inwestycji. Stracił wszystko^ to go załamało do tego stopnia, że przestał praktykować.

Sally wiedziała, że ta zwiędła relacja kryje w sobie prawdziwy dramat. Rob był dobrym synem. Bez wahania zrezygnował z kariery w dużym szpitalu, by ratować ojca.

- Zająłeś więc jego miejsce i wkrótce poznałeś swoją przyszłą żonę?

Po twarzy Roba przemknął cień, a w niebieskich oczach pojawił się smutek.

- Znałem Zoe od dawna. Nasze rodziny przyjaźniły się. Wszyscy pragnęli, żebyśmy się pobrali. - Rob umilkł na moment i przełknął ślinę. - Więc wzięliśmy ślub.

Wstał, włożył ręce do kieszeni i wlepił ponure spojrzenie w lśniąca tafle morza.

Boże, on nadal bardzo ją kocha, pomyślała Sally, wpatrzona w jego wyprostowane plecy. Jakże szybko ten człowiek wpadał z jednego nastroju w drugi. Zaledwie przed chwilą żartował i się uśmiechał, lecz wystarczyła wzmianka o żonie, by znów zaczął cierpieć. Mimo wolnego stanu nie był wolnym człowiekiem. Nadal należał do Zoe, zupełnie tak, jak gdyby ona wciąż żyła.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wyszłaś jak gwiazda filmowa! - Na widok Sally Wynn pomachała gazetą. - A Rob wygląda tak słodko z tym maleństwem...

- O czym ty mówisz? - zapytała Sally.

Wzięła gazetę i ujrzała zdjęcie jej i Roba wraz z Janet Buchan. Zrobiono je podczas wizyty w szpitalu.

- Przeczytaj ten artykuł o porodzie na szosie. Mówiłam ci, że to będzie sensacja! - Wynn nie posiadała się z dumy, jak gdyby sama wszystko zaaranżowała. - Wytnę go i powieszę na tablicy w poczekalni. Nie codziennie się zdarza, aby o naszej przychodni pisano na pierwszej stronie!

Sally z rozbawieniem przebiegła tekst wzrokiem. Wyglądało na to, że ona i Rob niemal własnoręcznie odsunęli ciężarówkę i przyjęli dziecko na środku drogi, w strugach deszczu!

- Wydaje mi się, jakby to było sto lat temu. - Sally uśmiechnęła się. - Ale pomogło przełamać lody w kontaktach z pacjentami. Wszyscy natychmiast pytają o szczegóły tego wydarzenia.

- To oczywiste. W telewizji nazwano cię „bohaterką burzy”. Po czymś takim nie wykręcisz się sianem!

Po chwili zjawił się Rob. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu dzisiaj zabrakło czasu: miał sterczące włosy i przekrzywiony krawat. Z jękiem padł na fotel, a Sally domyśliła się, że poranna wyprawa do przedszkola na pewno miała burzliwy przebieg.

- Na poprawę humoru, doktorze. - Wynn podała mu filiżankę kawy. y Wspaniałe zdjęcie, prawda? - Pokazała Robowi gazetę.

Rzucił okiem na fotografię i jego wargi wygięły się w uśmiechu.

- To rzeczywiście był pamiętny wieczór - mruknął, zerkając na Sally.

Ich oczy się spotkały i jednocześnie pomyśleli o wspólnym wysiłku zmierzającym do uratowania Janet i jej dziecka. Ale zapamiętali jeszcze coś... Sally drgnęła na myśl o tamtym uścisku, muśnięciu warg Roba i swojej reakcji. Odchrząknęła, trochę zakłopotana, i odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Na szczęście wszystko dobrze się skończyło - zaszczebotała odrobinę za wesoło. - Matka i dziecko czują się doskonale, ale niewiele brakowało, prawda?

Rob skinął głową.

- Rzeczywiście niewiele - przyznał z nieprzeniknioną miną.

Sally zarumieniła się. Co Rob miał na myśli: ratowanie Janet czy to, co stało się później? Spojrzała na niego badawczo, ale nic z jego twarzy nie wyczytała, ponieważ wsadził nos w jakieś medyczne czasopismo.

Nagle ogarnęła ją irytacja. Owszem, Rob wyraźnie sugerował, że nie jest do wzięcia. Przyjęła to do wiadomości i nie zamierzała do końca życia zadreć się poczuciem winy z powodu jednego głupiego pocałunku. Z westchnieniem sięgnęła po karty dzisiejszych pacjentów.

Ostatnie dni były niełatwe. W obecności Roba czuła przyływ zadziwiająco silnych emocji. Nie tylko podobał się jej jako mężczyzna, lecz intrygowała ją również jego zawodowa pasja. W pracy dawał z siebie wszystko. Ale na pewno nie miał ochoty na żaden romans, nie mówiąc już o trwałym związku.

Wynn zdradziła, że Rob grywa w golfa, uwielbia wędrowki po górach i czasem żegluje, ale nie ma dziewczyny. Podobno trzymał się z dala od kobiet. Sally domyślała się dlaczego. Żył przeszłością i był lojalny wobec ukochanej zmarłej żony.

- Bierzmy się do roboty - mruknął teraz, zerkając na zegarek. - Widzę, że przyjdzie Jim Logan. Znów zajmie nam prawie całe przedpołudnie, prawda, Wynn? Najpierw przez dziesięć minut będzie wymieniał swoje niezliczone dolegliwości, a później zacznie narzekać na służbę zdrowia!

Wynn zachichotała.

- Był zły, że nie dałam mu pierwszego numerka. Stwierdził, że specjalnie wpycham go na koniec, a najpierw zapisuję „baby i dzieciaki”!

- Sądzi, że umiera od najmniejszego głupstwa - wyjaśnił Sally Rob. - I doprowadzi w końcu do tego, że pewnego dnia wyciągnie kopyta, kiedy będę go zapewniał, że nic mu nie dolega! Aha, Sally, chciałbym zabrać cię po południu do pacjentki w starszym wieku. Trochę martwi mnie jej stan i sytuacja rodzinna. Pojedziesz?

- Oczywiście. - Była zadowolona, że Rob stara się zaznajomić ją z różnymi aspektami pracy. A perspektywa spędzenia z nim godziny lub dwóch także wydawała się kusząca.

Poranny dyżur przebiegał normalnie. Sally przyjęła dwoje przeziębionych dzieci i kobietę z bolącymi stawami. Zdziwiła się dopiero na widok czwartej pacjentki, do gabinetu weszła bowiem Beth Piper. Nerwowo rozglądała się wokoło, jakby przypuszczała, że filmuje ją ukryta kamera.

- Nie sądziłam, że wkrótce znów cię zobaczę. - Sally uśmiechnęła się do niespokojnej dziewczyny. - Jak czują się dzieci po szczepieniu? -

Przypomniała sobie, że w sobotę po dyżurze widziała całą rodzinę Piperów. - Twój mąż nie gniewał się z powodu tych zastrzyków?

- Już paniusi mówiłam, że on by sienie zgodził, więc lepiej niech nie wie. - Głos Beth brzmiał matowo, a w jej spojrzeniu czaiła się obawa. - Ja też nie chodzę po lekarzach. Całą trójkę urodziłam w domu. Ale teraz... - Beth urwała i zacisnęła splecione dłonie. - Teraz krwawię. Niedużo, ale może to źle dla dziecka.

- Od kiedy masz te krwawienia, Beth? Dziewczyna umknęła wzrokiem w bok.

- Od wczoraj - mruknęła. -1 trochę... mnie boli.

- Powinam cię zbadać. Spojrzę tylko na twój brzuch, posłucham bicia serca dziecka i zmierzę ci ciśnienie - rzekła łagodnie Sally, świadoma strachu Beth. - Nie musisz się niczego bać...

- Nie! Nie dam się dotknąć! Przyszłam tylko po poradę!

- Daj spokój, Beth. Nie zrobię ci krzywdy. Przecież chcesz urodzić zdrowe dziecko, prawda?

Beth odskoczyła, zasłaniając się wyciągniętą ręką, jakby odganiała złe duchy.

- Niech paniusia nie próbuje mnie oglądać - powiedziała gardłowym szeptem.

Sally siedziała nieruchomo, aby jej jeszcze bardziej nie przestraszyć.

- Słuchaj, Beth. To krwawienie to może głupstwo, a może coś poważnego. Masz już troje dzieci, znasz zagrożenie. - Sally umilkła, mając nadzieję, że jej słowa odniosą pozytywny skutek. Dziewczyna rzeczywiście trochę się odprężyła i oparła plecami o ścianę.

- Który to miesiąc?

- Siódmy... albo ósmy. Nie jestem pewna...

Twarz Beth nagle zszarzała, a kolana się ugięły. Sally zerwała się z krzesła i błyskawicznie podtrzymała słaniającą się na nogach dziewczynę.

- Już dobrze, Beth. - Podprowadziła ją do kozetki. Beth padła na nią z westchnieniem, a Sally ułożyła jej nogi. - Teraz lepiej? - Wzięła rękę dziewczyny w dłonie i spojrzała na popękane, łyżeczkowate paznokcie. Dobitnie świadczyły o niedoborze żelaza w organizmie. Ten stan potwierdzały też czerwone obwódki wokół oczu. Nic dziwnego, że prawie zemdląca. A jeśli jeszcze ma krwawienia...

Beth leżała z zamkniętymi oczami. Nie zareagowała, gdy Sally delikatnie podniosła jej spódnicę, odsłaniając mocno wypukły brzuch. Na widok tego, co ujrziała, Sally głośno wciągnęła powietrze.

- Na miłość boską, Beth, co ci się stało? - szepnęła. Napiętą skórę pokrywały liczne świeże sińce, fioletowe i czerwone, a jedną pierś przecinała wypukła, sina pręga.

- Beth, kto ci to zrobił? Twój mąż? On, prawda? Beth na moment otworzyła bladoniebieskie oczy.

- Nie, to nie on. Potknęłam się i upadłam.

- Wiesz, że to nieprawda. - Sally patrzyła na dziewczynę ze współczuciem.

- To są ślady kopnięć. Nie powstały w wyniku upadku. Musiałaś strasznie cierpieć.

W oczach Beth zebrały się łzy i powoli spłynęły po białych policzkach. Dziewczyna odwróciła głowę do ściany.

- On się wściekł - szepnęła. - Dowiedział się, że byłam tu z dziećmi, Żle, że przyszłam...

- Wcale nie, Beth. - Sally serdecznie ścisnęła szczupłą dłoń. - Chciałaś dobrze dla swoich dzieci. Może twoja siostra by żyła, gdyby została przeszczepiona. Teraz musisz myśleć o tym maleństwie, które nosisz.

Sally miała ochotę zawiadomić policję, była jednak pewna, że na wieść o tym Beth wpadłaby w histerię. Miała strach wypisany na twarzy. Prawdopodobnie znów twierdziłaby, że jej mąż jest niewinny. Tego łobuza należy złapać na gorącym uczynku. Sally przygryzła wargi. Co powinna zrobić?

- Beth - pogłaskała dziewczynę po policzku - zgodzisz się, żeby zbadał cię doktor Rob? Chciałabym poznać jego opinię. To dla dobra twojego dziecka.

Beth tylko wzruszyła ramionami i Sally przez interkom wezwała Roba. Nawet sama jego obecność jest krzepiąca, przemknęło Sally przez głowę, gdy wszedł do gabinetu. Bez słowa popatrzył na posiniaczoną Beth, następnie delikatnie obmacał jej brzuch i za pomocą stetoskopu sprawdził puls płodu. Gdy podniósł głowę, Sally zauważyła, że oczy płoną mu gniewem.

- Sądzę, że dziecko ma się dobrze, Beth - oświadczył spokojnie. Niewątpliwie uznał, że w tej chwili nie należy oskarżać sprawcy pobicia. - Jego serduszko bije normalnie i właśnie poczułem mchy. Ale musimy sprawdzić, czy nie występuje krwawienie poza łóżyskiem. W szpitalu zrobią ci usg. Poleżysz tam parę dni, trochę odpoczniesz, nabierzesz sił.

- Odpocznę? Ja? - Beth prychnęła kpiąco. - Też coś! Benjamin nie zadba o dzieciaki.

- Kto teraz się nimi zajmuje? - spytała Sally.

- Moja mama zabrała je na jeden dzień do Inverness. Żebym odsapnęła.

- Może zatrzymałaby je trochę dłużej? Masz podwyższone ciśnienie. Przyda ci się kilka dni spokoju.

- Benjamin nie pozwoli mi iść do szpitala. - W oczach dziewczyny znów zamigotał strach.

- A ty chcesz tam iść? - Rob wziął jej rękę w dłoń. - Pomyśl o dziecku. Twój odpoczynek wyjdzie mu na zdrowie. Powiem Benjaminowi, że zemdląłeś i zabrano cię do szpitala. Będiesz mogła całą winę zwalić na lekarzy. My cię nie zdradzimy.

- Na... na pewno? - Beth spojrzała na nich badawczo. Jednocześnie na jej twarzy odmalowała się ulga, jakby cieszyła się, że ktoś podjął za nią ważną decyzję.

Rob skinął głową.

- Zaraz cię zawiozę na badania. - Odprowadził Sally na bok i dodał przyciszonym tonem: - Później zajrzę do tego Pipera, ale teraz wolę jej nie martwić. Dopiero nam zaufała. - Podszedł do dziewczyny i pomógł jej wstać. - Do zobaczenia, doktor Jones - dodał pogodnie. - Teraz pojedę z naszą pacjentką do szpitala, gdzie spełnię wszystkie jej życzenia.

Gdy Sally skończyła dyżur, Rob już na nią czekał. Miał zaciętą minę i wyładował gniew, prowadząc samochód na granicy ryzyka. Sally wczepiła się rękami w fotel i milczała, zaciskając zęby. Czuła, że w tej chwili lepiej nie zwracać Robowi uwagi. W końcu na nią zerknął i uśmiechnął się przepraszająco.

- Wybacz, Sally, ale nie miałem okazji pogonić tego łobuza Pipera. Chciałem porządnie napędzić mu stracha, żeby więcej nie bił żony, ale go nie zastałem. Może to i lepiej, bo pewnie bym drania zamordował.

- I tak wkrótce się dowie o wszystkim, prawda? Jak ona z nim wytrzymuje?

- Bóg raczy wiedzieć. - Rob zmniejszył prędkość. - Jakimś cudem zmusza ją do ślepego posłuszeństwa. Większość takich szumowin terroryzuje rodziny. Ten typ pewnie teraz gdzieś się upija, żeby wieczorem urządzać piekielną awanturę.

- Biedna Beth - mruknęła Sally. - Ona naprawdę troszczy się o dzieci. Sądziś, że nie urodzi przedwcześnie?

- Właśnie robią jej badania, a kilka dni odpoczynku podziała stabilizująco. Wiesz, Beth musiała nabrać do ciebie wielkiego zaufania, skoro przyszła drugi raz.

- Gdyby tylko mogła uciec od tego potwora... - Sally westchnęła ciężko. - Ja na jej miejscu już dawno bym to zrobiła!

Rob wyraźnie się zasepił.

- Nie zawsze jest to możliwe - mruknął, a Sally szybko na niego spojrzała, zdziwiona tonem jego głosu. - Trzeba brać pod uwagę różne względy. Co z dziećmi Beth? Ona nie ma dokąd pójść i boi się Pipera. To sytuacja prawie bez wyjścia.

Sally zaczerwieniła się, słysząc przyganę w głosie Roba. Rzeczywiście nie powinna wyrażać takich autorytatywnych opinii, skoro dobrze nie zna położenia Beth.

- Chyba masz rację - przyznała.

Właśnie zostawili wieś za sobą i jechali krętą drogą między wzgórzami. W powietrzu czuło się już wczesną jesień, lecz słońce świeciło mocno i w jego blasku jezioro iskrzyło się jak milion brylantów. Sally z zachwytem patrzyła na porośnięte liliowym wrzosem zbocza. Było tu zupełnie inaczej niż w zatłoczonym Manchesterze z jego wąskimi ulicami i zaniedbanymi domami jej dawnych pacjentów.

- Pięknie, prawda? - Rob chyba czytał w jej myślach. - Do tych zatoczek dociera przypływ, toteż są rajem dla ptactwa. A kiedy słońce zachodzi za górami i niebo jest czerwone, woda odbija wszystkie kolory. - Wskazał ręką zadrzewione wzgórze ubarwione złotem jesiennych liści. - Tam koczuje para rybołówów. Lubię je obserwować. Mają wielkie gniazdo przypominające rozbebeszony materac. Chłopcy i ja kiedyś pokażemy ci to miejsce.

- Uwielbiasz wieś, prawda? - Sally zauważyła, że twarz Roba się wypogodziła. Teraz wyglądał młodziej, niemal beztrąsko.

- Nikt nie zmusiłby mnie do opuszczenia tych stron - odparł, przesuając spojrzeniem po wspaniałym pejzażu. - Moja żona chciała przeprowadzić się do Londynu, ale uznałem, że to bez sensu. Może się myliłem.

- Cóż, miałeś tu pracę, którą lubiłeś...

- Właśnie. - Głos Roba zabrzmiał twardo. - Podjąłem decyzję, ale Zoe nigdy tu się nie podobała. Była dziewczyną miasta.

Gdy mówił o Zoe, jego twarz znów nabrała kamiennego wyrazu. Sally wiedziała, co to oznacza. Bolała go każda wzmianka o żonie. Niewątpliwie

wciąż bardzo ją kochał. W jego życiu i sercu nie było miejsca dla innej kobiety.

Rob otworzył dach auta i do jego wnętrza wpadło rześkie górskie powietrze. Z radia dobiegał dźwięczny głos dziewczyny śpiewającej celtycką pieśń miłosną. W samochodzie nagle zrobiło się weselej. Sally wiedziała, że jej i Roba nie czeka wspólna przyszłość, lecz mimo to poczuła przypływ zadowolenia, podziwiając piękną scenerię Szkocji.

- To cudowna kraina. - Odrzuciła głowę do tyłu i odetchnęła głęboko. - Nie do wiary, że w ubiegłym tygodniu stałam w miejskim korku i wdychałam spaliny.

- Nie zateśknisz za Manchesterem? - Spojrzał na nią bystro. - Pamiętam, że bywało tam całkiem przyjemnie.

- Będzie mi brakować przyjaciół, ale już nie mam tam rodziny. Nadeszła pora na zmiany.

- Teraz nic cię nie łączy z tym miastem? - zapytał od niechcienia, powoli przejeżdżając po metalowej kracie służącej do zatrzymywania bydła.

Sally parsknęła śmiechem.

- Może tylko pacjent dziwak, który zauważy brak mojej osoby!

- A propos pacjentów, powiem ci coś niecoś o rodzinie, którą odwiedzimy.

- Rob machnął ręką w stronę widocznej na wzgórzu farmy. - Tam mieszkają Skinnerowie. Starsza pani Skinner ma dziewięćdziesiąt lat. Dziś rano zemdląca, ale szybko doszła do siebie. W ciągu ostatnich trzech lat miała sporo udarów naczyniowych o lekkim przebiegu.

Sally skinęła głową. Dolegliwość, o której mówił Rob, często zdarzała się osobom w starszym wieku. Mijała na ogół względnie szybko.

- Syn pani Skinner, Bill, i jego żona Sheena zbliżają się do siedemdziesiątki. Nie są najlepszego zdrowia i jest im coraz trudniej dbać o matkę.

- Nadal pracują na farmie?

- Tak. Ich syn, Mick, ma zespół Downa. Bardzo pomaga rodzicom, ale oni chcieliby już przejść na emeryturę.

- Zamierzają sprzedać farmę?

- Dzierżawę przejmie ich córka i zięć, ale najpierw trzeba zdecydować o dalszym losie matki Billa. Moim zdaniem powinna zamieszkać w domu opieki.

Droga do gospodarstwa Skinnerów była pełna wybojów, a zabudowania - dosyć zaniedbane. Tylko świeżo przycięty żywopłot wyglądał ładnie.



- Skinnerowie się starzeją i już nie dają sobie rady. - Rob wskazał dłonią odpadający tynk na murze otaczającym podwórko. - Pamiętam czasy, gdy ta farma była kwitnąca. Ostatnio bardzo podupadła.

Sally zerknęła na zapuszczone budynki gospodarskie, chwasty i stos nawozu w pobliżu mętnego stawu. Po chwili z domu wyszedł mężczyzna, który trzymał na rękach szczeniaka.

- Cześć, Rob. - Mężczyzna zajrzał przez szybę do samochodu.

- Witaj, Mick. Jak się miewasz?

Sally wysiadła i Rob przedstawił jej Micka, który obejrzał ją od stóp do głów i zachichotał.

- To twoja dziewczyna, Rob? Ładna. Ma włosy jak Julia Roberts.

- Mick jest kinomanem - wyjaśnił Rob. Zauważył, że Sally się zaczerwieniła i w jego oczach zamigotały wesołe iskierki. - Trafne spostrzeżenie, Mick, ale to doktor Sally, moja zastępczyni. Przyjechaliśmy do twojej babci.

- Ty jesteś gwiazdą filmową, a nie lekarką - oświadczył Mick, odwracając się do Sally. - Widziałem cię w telewizji.

Sally roześmiała się.

- To dlatego, że pomagałam doktorowi Robowi przyjąć dziecko. Naprawdę jestem lekarką. - Pogłaskała małego psiaka po jedwabistej sierści. - Śliczny. Jak się wabi?

- Barnaby. Ale muszę go oddać. - Mick skrzywił się żałośnie. - Mamf mówi, że i tak jest za dużo roboty. Ty weź Barnaby'ego, on cię lubi. - Rozpromieniony, wepchnął szczeniaka w ręce zaskoczonej Sally.

- Przykro mi, Mick, ale niestety nie mogę opiekować się pieskiem. - Z żalem spojrzała w jego brązowe ślepka. - Doktor Rob i ja mamy dużo obowiązków. - Oddała szczeniaka Mickowi, który pomaszerował z nim do stodoły.

Starszą panią Skinner zastali w kuchni. Siedziała na krześle tępo wpatrzona w jakiś punkt. Jej spojrzenie na moment nabrało ostrości, gdy Sally i Rob podeszli bliżej.

- Babciu, to doktor Rob. Przyszedł, ponieważ się przewróciłaś. - Pochylony nad matką Bill Skinner mówił z typowym szkockim zaśpiewem. - Nie pozna cię, chociaż w ciągu ostatniego roku przyjeżdżałeś do nas co miesiąc.

Starsza pani raptownie zamruwała powiekami.

- Przewróciłam się? To kłamstwo! ~ oświadczyła gderliwie, sapiąc przez nos. - Nigdy się nie przewracam! Nigdy... - Urwała i przez chwilę oddychała ciężko. - Nigdy w życiu się nie przewróciłam! - dokończyła jęklwym głosem i zaczęła kiwać się w przód i w tył, nie zwracając uwagi na gości.

- Nadal wstaje w nocy i snuje się po domu?

Bill skinął głową. Wyglądał mizernie, miał szarą cerę i zapadnięte oczy o lekko żółtawych białkach.

- Tak. I ma problemy z utrzymaniem moczu. Sheena ledwie daje sobie z nią radę. Teraz poszła na górę, żeby trochę się zdrzemnąć. Matki już nie można zostawić samej. A co gorsza, od pewnego czasu jest bardzo agresywna wobec Micka. On tego nie potrafi pojąć. Zawsze uwielbiał swoją babunię, o ona jego.

Jakie to smutne, gdy stary człowiek przestaje rozpoznawać bliskich, pomyślała Sally.

- Jak widzisz, pani Skinner cierpi na progresywną demencję będącą prawdopodobnie rezultatem tych udarów - rzekł cicho Rob, zwracając się do Sally. - Obecnie przyjmuje siedemdziesiąt pięć miligramów aspiryny dziennie. Do niedawna absolutnie nie chciała opuścić domu, ale jej stan szybko się pogarsza. Nastąpiło wyraźne upośledzenie pamięci.

- Nie chcieliśmy oddawać jej do domu opieki - z żalem w głosie powiedział Bill. - Wolelibyśmy, aby dożyła swoich dni tutaj, w miejscu, które kocha. Ale to straszne patrzeć na nią, gdy jest taka jak teraz... I nie wiem, czy podołamy wszystkim obowiązkom... - Bill przełknął ślinę, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

- Rozumiem cię, Bill. - Rob położył rękę na jego ramieniu. - Moim zdaniem twoja matka potrzebuje całodobowej fachowej opieki. A tobie i twojej żonie przydałoby się trochę odpoczynku. Będziesz mógł odwiedzać matkę, kiedy zechcesz. Prawda, doktor Jones?

- Oczywiście. - Sally z sympatią uśmiechnęła się do starszego pana. - Prowadzenie farmy na pewno wymaga dużo wysiłku. Co hodujecie?

- Głównie owce, kilka krów i kury. Mój syn, Mick, bardzo mi pomaga, ale ostatnio walczymy z plagą gryzoni, zwłaszcza szczurów. Chciałbym jak najszybciej przekazać gospodarstwo córce i jej mężowi. Zamieszkają tutaj, a Sheena i ja przeniesiemy się do chaty między tamtymi drzewami. - Stwardniała od ciężkiej pracy dłonią machnęła w stronę okna.

Rob zauważył duże skaleczenie biegnące od kciuka aż do nadgarstka.

- Co ci się stało? - spytał. Bill przelotnie zerknął na rękę.

- Wyciągałem owcę, która wpadła do stawu, i zawadziłem o jakiś drut. Szybko przestało krwawić.

- Należało to zdezynfekować. Nie potrzebujesz zakażenia, wystarczą ci inne problemy. - Rob przyjrzał się ranie i lekko ugniatając, obmacał ciało wokół niej. - Nie wygląda źle, ale na wszelki wypadek przemyję to specjalnym środkiem.

Później Rob pochylił się i ujął dłoń matki Billa.

- Pani Skinner - rzeki łagodnie - powinna pani trochę pomieszkać w domu opieki. Sprawdzimy, co jest przyczyną tych omdleń, wykonamy różne badania. Rozumie mnie pani?

Staruszka przez chwilę patrzyła na niego bezmyślnie, po czym zachichotała.

- Znam twojego ojca, młody człowieku - wysapała. - Spytaj go, czy mam kupić nowy dom.

- Mojemu ojcu chyba spodobałby się ten pomysł. - Rob uśmiechnął się ciepło. - Chciałby dla pani tego, co najlepsze. - Odwrócił się do Billa. - Twoja matka pewnie nie będzie pamiętać tej rozmowy, ale chyba nie miała nic przeciwko przeprowadzce.

- Myślę, że nie, doktorze - ze smutkiem w głosie przyznał Bill. - Kamień spadł mi z serca.

Skrzypnęły drzwi i do kuchni wszedł Mick, niosąc szczeniaka. Postawił go na podłodze, a psiak ruszył w ich stronę, zabawnie ślizgając się na kafelkach. Mick patrzył na niego z zachwytem.

- Zabierzcie stąd tego chłopaka! - wrzasnęła staruszka.

- On chce mnie zabić! Nienawidzę go!

Mick popatrzył na nią oszołomiony.

- Ja wcale nie chcę zrobić babci nic złego - powiedział żałośnie, a po jego policzkach spłynęły dwie łzy.

- Znajdziesz miejsce dla pani Skinner? - zapytała Sally, gdy wracali do domu. Epizod z Mickiem bardzo ją zasmucił, lecz jednocześnie ujawnił skalę problemu, z którym borykali się Skinnerowie.

- Tak. W naszym szpitalu jest mały oddział dla starszych, umysłowo chorych osób. Może teraz Bill trochę odetchnie, skoro decyzja została podjęta. Czułem, że już goni resztkami sił.

- Billowi i jego żonie przydałby się wypoczynek. Gdyby jeszcze ktoś na pewien czas wziął Micka...

- Muszę o tym pomyśleć. Jego siostra sobie z nim nie radzi. To dobry chłopak, ale nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Czasem znika z domu i musi go szukać policja.

- Rob zaśmiał się. - Mick uwielbia posterunki, ponieważ kiedyś, gdy go złapano na dłuższym spacerze, dostał od policjantów kawałek tortu. Od tego czasu bardzo się stara, żeby znów zatrzymał go radiowóz!

- Dobrze znasz swoich pacjentów.

- Niektórzy są dla mnie jak rodzina. Leczył ich mój ojciec, a przedtem dziadek. Wychowałem się wśród tych ludzi. - Rob posłał jej szeroki uśmiech. - A teraz czas na podwieczorek!

- Tutaj? - spytała zdumiona. Otaczały ich zielone wzgórza, między którymi wiała się srebrzysta rzeczka. - Nigdzie nie widzę kawiarni.

- Oto ona! - Rob wziął z tylnego siedzenia plecak i wyjął z niego termos oraz małe pudełko. - Kochana Wynn. Wie, czego trzeba lekarzowi na dyżurze w terenie. - Wysiadł i przeciągnął się. - Chodź. Nie wypiję tego wszystkiego sam.

Sally wygramoliła się z samochodu. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy wiatr smagnął ją po policzkach i rozwał włosy. Masz swoją szkocką pogodę, pomyślała, szczelniej otulając się płaszczem, a Rob parsknął śmiechem.

- Herbata najlepiej smakuje na dworze, zwłaszcza gdy popija się nią kruche ciasteczka domowego wypieku. - Rob napełnił kubek. - Proszę bardzo. Należy ci się.

Ich palce na moment się zetknęły i Sally przeszedł dreszcz. Rob postawił kubek na dachu samochodu i chwycił jej dłonie.

- Są lodowate - mruknął i delikatnie je potarł. - Na wiejskie wyprawy w tej części świata musisz ubierać się bardziej praktycznie. Noś rękawiczki na kożuszku.

Podniosła głowę i stwierdziła, że na wargach Roba błąka się wesoły uśmieszek.

- I zawsze wkładaj szalik. To konieczne. - Ujął klapy płaszcza Sally i postawił kołnierz. - Nie chcę, żeby moja zastępczyni przemarzła.

Był tak blisko... Wystarczyło zrobić jeden mały krok, aby znaleźć się w jego ramionach, schronić się w nich przed zimnem i wiatrem. Cztery lata temu nie wahałaby się nawet przez chwilę. Przytuliłaby się do Roba, a on zamknąłby ją w swoim uścisku...

Ależ jesteś niemądra, skarciła się w duchu. Tamto minęło bezpowrotnie. Rob już nie należy do ciebie. Nadal kocha swoją zmarłą żonę. Na myśl o tym Sally poczuła przyływ lekkiego rozdrażnienia. Rob nie powinien jej tak kusić. Odsunęła się od niego i sięgnęła po kubek.

- Pozwolisz, że wypiję tę herbatę, dopóki jest gorąca? - spytała niemal opryskliwie.

Intuicja nakazywała trzymać się z daleka od tego mężczyzny, ponieważ chwile bliskości stawały się słodką torturą, a on chyba nie miał o tym pojęcia. Sally zacisnęła palce na kubku, aby stłumić buzujące w niej emocje. Tak bardzo pragnęła być blisko Roba, ale nie mogła sobie na to pozwolić, ponieważ on nic do niej nie czuł.

- Powinniśmy już wracać - oświadczyła lekkim tonem.

- Mam mnóstwo papierkowej roboty.

- Oczywiście. - Zacisnął usta, a jego twarz spochmurniała. - Nie marnujmy więcej czasu. - Wylał resztę herbaty na trawę i otworzył drzwi samochodu. Miał taką minę, jakby nagle coś mu się przypomniało - coś, o czym wolałby zapomnieć.

Pewnego dnia odkryję prawdziwe oblicze Roba, teraz ukryte za tą maską, pomyślała Sally. Ten człowiek ma interesującą osobowość. Jest pełen poświęcenia dla swych pacjentów, potrafi się cieszyć i śmiać, lecz czasem zamyka się w sobie, staje się ponury i milczący. Sally bezwiednie westchnęła. Czy kiedyś naprawdę zdoła dobrze go poznać?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kilka dni później podczas przerwy na lunch Sally wyskoczyła po zakupy do małego supermarketu. Pchnęła wózek między półki ze słodyczami i natknęła się na dwie małe osóbki. Siedziały w kucki obok stosu batoników i pustych papierowych opakowań.

- Coś takiego! Znów omal was nie przejechałam! - Usiłowała nie parsknąć śmiechem na widok Bena i Charliego. Obaj mieli przerażone miny i buzie oraz ręce wysmarowane czekoladą. - Chyba nie powinniście tego robić - oświadczyła z udawaną powagą. - Będziecie musieli za to zapłacić.

- Ale my tylko ugryźliśmy małe kawałeczki - zaprotestował Ben. - Nikt nie zauważy.

- Zauważy - powiedział ktoś gniewnie za plecami Sally.

- Co tu się dzieje?

Sally odwróciła się i ujrzała Roba. Trzymał się pod boki i groźnie spoglądał na synów. Gdy potem zerknął na nią, dostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia.

- Nie bądź dla nich zbyt surowy - poprosiła z uśmiechem. - Skąd mogli wiedzieć, że te słodycze nie są do wzięcia? Leżały w zasięgu ręki.

- Powinni się nauczyć, że nie wolno nic ściągać z półek - oświadczył surowo Rob i nagle szeroko się uśmiechnął.

- Właściwie po czyjej ty jesteś stronie? Nie chcę wychować dwóch młodocianych przestępców!

Oboje parsknęli śmiechem, a chłopcy poweseleli, czując, że widmo kary się oddala.

Rob w zamyśleniu przyglądał się Sally, która schyliła się i wyjęła z rąk chłopców nadgryzione batoniki. W ciągu ostatnich dni, gdy często widywał Sally, wciąż myślał o okresie spędzonym w Manchesterze. Wspomnienia nagle stały się takie wyraziste... Do niedawna sądził, że już dawno i na zawsze zapomniał o tamtym życiu. Ale teraz każdy gest Sally, jej śmiech i głos przypominały mu o innym, wypełnionym radością świecie. I o słodyczy, jaką daje poznanie kogoś naprawdę cudownego.

Cóż za ironia losu! - westchnął. Gdyby nie musiał tak nagle wyjechać z Manchesteru... Gdyby nie został w Drumneedoch...

Popatrzył na twarz Sally, na jej jedwabiste, lśniące włosy. Boże, ależ był głupi! Dlaczego wtedy pozwolił jej odejść? Teraz znów wkroczyła w jego życie, ale jak mógłby obciążyć ją bagażem ze swojej przeszłości? Sally

zasługuje na kogoś lepszego niż mężczyzna z dwojgiem dzieci. Gniewnie odsunął tę frustrującą myśl i postawił obu chłopców na nogi.

- Nigdy więcej tego nie róbcie, jasne? - Posłał im srogie spojrzenie, a oni poważnie kiwnęli główkami.

Sally zauważyła tę nagłą zmianę nastroju Roba i pospiesznie spytała:

- Dlaczego nie są w przedszkolu? - Uznała, że to bardziej neutralny temat.

- Dzisiaj jest otwarte tylko przez pół dnia. Ellie pojechała do Inverness, więc musiałem odłożyć uzupełnianie dokuraentów na inny dzień. Może ostatni raz tej jesieni skoszę trawę, a Ben i Charlie wykopią niektóre rośliny. Jeśli takim nicponiom w ogóle można zaufać!

- Chętnie bym ci pomogła, ale po południu jest dyżur dla matki i dziecka. Mój pierwszy!

- Gdybyś potrzebowała rady, zadzwoń na komórkę. Aha, jeszcze jedno. Starsza pani Skinner już jest na oddziale. Teraz trochę martwię się o Billa. Podobno miewa bóle głowy, ale nie chciał przyjechać na badania. Trudno przełamać jego upór. - Rob odwrócił się do dzieci. - Idziemy - oświadczył. - Trzeba zapłacić za nadgryzioną czekoladę, a później pojeździmy kosiarką!

Sally odprowadziła ich wzrokiem. Wysoki ojciec trzymał za rączki małych synków, którzy szybko dreptali, aby za nim nadażyć. Są rodziną, pomyślała. Nie ma w niej miejsca dla kogoś obcego.

Sally przeciągnęła się i wypila trochę herbaty przyniesionej przez pielęgniarkę. Po południu przyjęła wielu pacjentów. Dyżur internistyczny często sprawiał niespodzianki, dlatego Sally tak bardzo lubiła swoją pracę, choć nieoczekiwane odkrycia czasem oznaczały zasadniczą zmianę w życiu pacjenta.

Właśnie coś takiego zdarzyło się dzisiaj. Janet Buchan przyniosła na badanie córeczkę i poprosiła, aby Sally zbadała też jej męża.

- Martwię się o niego - wyjaśniła. - Nie czuje się dobrze, a w tym tygodniu znów wypływa w morze.

- Nic mi nie jest - oświadczył George Buchan, ale jego mizerny wygląd przeczył temu zapewnieniu. - Dbam o dobrą formę. - Napiął mięśnie i uśmiechnął się szeroko. - Od lat nie opuściłem dnia pracy. Przyszedłem tylko dlatego, że Janet nalegała.

- Zawsze udaje bohatera - Janet spojrzała na męża . groźnie - ale wiem, że ma bóle brzucha. To może być objaw różnych rzeczy, prawda? Zapalenia wyrostka robaczkowego, przepukliny, blokady jelita...

Janet niewątpliwie doszkoła się teoretycznie. Sally posłała zaniepokojonemu mężczyźnie krzepiący uśmiech.

- Zerknę na pana, a Janet w tym czasie weźmie małą Ruth do zważenia.

Badanie niczego nie ujawniło, lecz intuicja podpowiadała Sally, że George coś ukrywa.

- Zauważył pan jakieś inne objawy? Wyraźnie się zmieszał.

- Och, nic takiego. Chyba trochę za często muszę... wie pani... oddawać mocz.

W umyśle Sally odezwał się sygnał alarmowy.

- Coś jeszcze? Może ogólne zmęczenie?

- Cóż, bywa, że padam na nos, ale harówka na łodzi każdemu daje się we znaki. Może dlatego tak dużo piję, chyba kilkanaście litrów wody na dobę. Śmieszne, prawda?

Sally w zamyśleniu patrzyła na młodego mężczyznę. Czyżby miał cukrzycę?

- Powinniśmy wykonać analizę moczu, panie Buchan. Sprawdzimy poziom cukru.

- Dlaczego? - George poważnie się zaniepokoił. - Jadam dużo słodczy. Nie brakuje mi cukru.

- Może pański organizm produkuje za mało insuliny kontrolującej poziom cukru. To poważna choroba.

- A jeśli się okaże, że ją mam?

- Będzie pan musiał przejść na dietę z ograniczoną ilością węglowodanów i prawdopodobnie przyjmować leki. I zgłaszać się na kontrole w poradni dla cukrzyków. Teraz zrobmy szybko badanie moczu.

Analiza wykazała wysoki poziom cukru. George pobladł, gdy Sally przekazała mu tę przykrą wiadomość.

- A co... z pracą? Łódź należy do mnie i mojego brata. Już i tak brakuje nam jednej osoby. Nasz pomocnik niedawno złamał rękę. Nie mogę go zwolnić.

- I nie może pan zemdlec na łodzi. Nie znajdzie pan kogoś na zastępstwo?

- Z tym nie byłoby problemu - stwierdził ponuro. - Dużo ludzi szuka zarobku, ale nasza łódź przynosi mały dochód. Nie wystarczy na zapłatę dla mnie i kogoś nowego. Co ja zrobię? - W głosie George'a zabrzmiała rozpacz.

- Muszę utrzymać rodzinę. - Na chwilę ukrył twarz w dłoniach, a potem spojrzał na Sally. - Pójdę do tej poradni tylko wtedy, kiedy doktor Rob



powie, że muszę - oświadczył twardo. - Bez urazy, ale to on zawsze się nami opiekował.

Sally znów pomyślała o George'u Buchanie. Nie miała mu za złe tego, że chciał porozmawiać z Robem. Przecież znał go i ufał mu przez całe życie. Najgorsze było to, że opinia Roba nie mogła niczego zmienić.

Na biurku leżał stos formularzy. Sally zamierzała uporać się z nimi jeszcze dziś. W przychodni panowała niczym nie zmacona cisza, ponieważ wszyscy już wyszli, z wyjątkiem dyżurującej w pokoju zabiegowym pielęgniarki Debbie. Przez uchylone okno z podjazdu dobiegł odgłos silnika furgonetki i zgrzyt żwiru pod kotami. Sally przysunęła pierwszy formularz i zaczęła go wypełniać.

Spokój popołudnia nagle zburzyło wściekłe kopnięcie w drzwi. Uderzyły o ścianę z taką siłą, że drewno pękło, a z sufitu posypał się tynk.

Sally przez moment sądziła, że nastąpił jakiś wybuch, po czym zamarła, bo w progu ujrzała Benjaminą Pipera. Jego twarz pokrywał zaniedbany zarost, lecz i tak było widać, że jest wściekły. Wyglądał jak szaleniec.

- Ty dziwko! - wrzasnął. - Gdzie, u diabła, jest moja żona? Porwałaś ją, ty szmato! Pożałujesz tego! Moja rodzina nie potrzebuje doktorów! Bóg i natura ją ulecą! Jesteście bandą zarozumiałych sukinsynów!

Tylko spokojnie, nie okazuj strachu... Sally wiedziała, że nie może wpaść w popłoch. Piper niewątpliwie dowiedział się - może od teściowej - że Beth zabrano do szpitala.

- Panie Piper, pańska żona jest bardzo chora. - Sally starała się nadać głosowi normalne brzmienie. - Doznała poważnego urazu i obawialiśmy się, że straci dziecko. -Przyglądała się twarzy mężczyzny, lecz nie odmalował się na niej nawet cień wstydu. Przeciwnie, wyrażała tylko nienawiść. - Zona potrzebuje opieki medycznej i odpoczynku. Doktor MacKay próbował skontaktować się z panem, ale...

- Nie gadaj mi, czego Beth potrzebuje - warknął Piper. - To moja żona. Lepiej wiem, czego jej trzeba!

Skoczył do przodu i Sally z przerażeniem zauważyła, że trzyma w dłoni metalowy pręt. Zaczęła szaleńczo szukać stopą zainstalowanego w podłodze przycisku do wzywania pomocy. Gdzie on jest, u licha? Nigdzie nie mogła go wymacać. Zalała ją fala paniki.

Piper walnął prętem w biurko i kopnięciem odsunął je na bok. Już nic nie oddzielało Sally od rozjuszonego mężczyzny. Wzięła więc głęboki oddech i

zaczęła krzyczeć, ile sił w płucach. Tylko w ten sposób mogła zaalarmować Debbie.

- Możesz sobie wrzeszczeć – prychnął Piper - i tak nikt cię nie usłyszy. Tu nikogo nie ma.

A więc nie wie o obecności Debbie, przemknęło Sally przez głowę. A Piper zaczął powoli się zbliżać.

- Mam cię, laleczko - syknął. - Teraz ja porwę cię. Przekonasz się, jak to jest, gdy ktoś wtyka nos w twoje sprawy. Zobaczymy, czy ci się spodoba!

Poczuła odór brudnego ciała i nagle oprzytomniała. Chwyciła krzesło i z całej siły cisnęła je w napastnika, po czym błyskawicznie rzuciła się w lewo. Nie zdążyła jednak uciec. Piper złapał ją za łokieć i szarpnął w swoją stronę.

- Nie tak szybko, ślicznotko. To ci się nie uda.

O Boże, pomyślała z rozpaczą. Nie wierzę, że to naprawdę się dzieje. Muszę się uspokoić, zaatakować go niespodziewanie.

Napastnik gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Był tak blisko, że widziała czerwone żyłki w jego nabiegłych krwią oczach, czuła ohydny, przesycony zapachem alkoholu oddech. Usłyszała też, że gdzieś w głębi korytarza Debbie przez telefon wzywa pomocy i poczuła ulgę, która dodała jej sił.

Zaciskając zęby, kopnęła mężczyznę w goleń. Ten zawył z bólu i natychmiast otrzymał cios kolanem w krocze. Z jękiem osunął się na kolana, przyciskając ręce do bolącego miejsca. Sally dała susa w stronę drzwi, lecz Piper jakimś cudem zdołał złapać ją za nogę. Przewróciła się i uderzyła głową o kant biurka.

Była na pół przytomna, gdy włókł ją po podłodze. Zdołała jeszcze usłyszeć krzyk Debbie, po czym wszystko wchłonęła ciemność.

Rob nie miał wątpliwości, że trochę za długo zwlekał z koszeniem trawy. Rozejrzał się po dużym ogrodzie. W głębi znajdował się jabłoniowy sad. Stare drzewa już nie dawały dużo owoców, ale stwarzały wspaniałe warunki do zabawy, a rozłożyste gałęzie wręcz zapraszały, aby się na nie wdrapywać.

Sam dom budził wiele radosnych wspomnień z dzieciństwa. Ojciec Roba miał tutaj gabinet lekarski, a po pochyłym dachu Rob często zjeżdżał ze swojej sypialni prosto do ogrodu! Wśród jabłonek nadal stała ta sama huśtawka, na której kiedyś bawił się z siostrą, a do garażu przylegała mała szopa, oddana do ich dyspozycji.

Rob spojrzał na piękną, starą rezydencję i z niewesołym uśmiechem przypomniał sobie, jak bardzo Zoe nie znosiła tego miejsca. Poniekąd ją rozumiał: czuła się tutaj odizolowana od wielkiego świata. Pragnęła „wrócić

do cywilizacji", jak sama to ujęła. Ale teraz, gdy patrzył na swoich biegających po ogrodzie synów, był pewien, że oni - podobnie jak on - pokochają ten dom całym sercem.

Zerknął na zegarek i uznał, że skosi trawę w ciągu godziny, a później zajmie się papierkami.

- Możecie jeździć rowerami tylko po ścieżkach! - zawołał, aby ostrzec bliźniaków. - Nie chcę najechać na was kosiarką!

- Tatusiu, pats! - Ben, pulchniejszy z braci, puścił kierownicę rowerka i machając rękami, przejechał ścieżką sąsiadującą z trawnikiem. - Charlie i ja będziemy się ścigać! Pats!

Rob serdecznie uśmiechnął się do synów. Ich główki w jaskrawoniebieskich hełmach były nieproporcjonalnie duże w porównaniu z drobnymi sylwetkami. Wspaniałe dzieciaki, pomyślał z ojcowską dumą. Psotne, ale zabawne i kochające.

Szkoda, że nie ma nikogo, z kim mógłby o nich rozmawiać. Większość rodziców to uwielbia, prawda? Cieszą się z osiągnięć swych pociech, rozprawiają o ich zwyczajach, martwią się niepowodzeniami i wspierają się nawzajem, gdy coś jest nie tak.

Jego przyjaciele byli zbyt zainteresowani swoimi dziećmi, aby słuchać długich opowieści o Benie i Charliem. Cóż, to oczywiste, że własne maluchy zawsze wydają się najmądrzejsze i najpiękniejsze na świecie.

Rob westchnął. Nie zawsze umiał poświęcić Benowi i Charliemu tyle uwagi, na ile zasługiwali, zbyt często tracił przy nich poczucie humoru. Co takiego powiedziała Sally w supermarkecie? „Nie bądź dla nich zbyt surowy”. Boże, przecież się stara. Jeszcze jak.

Wepchnął kosiarkę na trawę i zaczął ją kosić. To zajęcie zawsze działało na niego kojąco. Na trawniku pojawiały się równe, gładkie pasy, a cała praca wcale nie zabierała dużo czasu. Ben i Charlie początkowo biegali w pobliżu, naśladując tatę. Zebrali do dziecięcych taczek rozsypaną na ścieżce trawę i zawieźli ją do stosu kompostu.

- Chodźcie do domu czegoś się napić! - zawołał Rob po skoszeniu trawnika. - Byliście bardzo grzeczni. Później możecie jeszcze trochę pobawić się na dworze, a ja popracuję tutaj. Elbe chyba niedługo wróci z Inverness. Na pewno przygotowuje dla was coś pysznego na kolację.

Chłopcy wypili po szklance soku i z herbatnikami w rękach wybiegli na zewnątrz. Natomiast Rob zaparzył sobie filiżankę herbaty i zabrał się do wypełniania formularzy z przychodni. Chciał nadrobić zaległości przed

powrotem Fergus Baines z urlopu. Fergus był kierownikiem administracji i zawsze narzekał, że Rob nigdy nie oddaje rachunków w terminie. Tym razem Rob zamierzał zrobić Fergusowi miłą niespodziankę!

Nagle usłyszał wycie samochodowego silnika. Ktoś zbyt szybko jechał drogą wzdłuż jeziora. Niemal w tej samej chwili rozdzwonił się telefon komórkowy - akurat wtedy, gdy Rob wpisał pierwsze uwagi. Zirykowany tym, że ktoś mu przeszkadza, podniósł słuchawkę i szorstko mruknął:

- Halo!

Stopniowo odzyskiwała przytomność. W końcu stwierdziła, że leży na podłodze jadącej z szaleńczą szybkością furgonetki. Czuła się okropnie, w głowie jej szumiało, jakby oberwała w nią młotkiem. Mimo to jakimś cudem zdołała podnieść się do pozycji siedzącej i dysząc z wysiłku, oparła skroń o bok auta.

- Boli główka, co? - We wstecznym lusterku ujrzała złośliwie uśmiechniętą twarz Benjamina Pipera. Właśnie wziął kolejny zakręt z taką prędkością, z jaką nikt wtedy nie jeździł. - Nie martw się, lalczko. Zaraz dostaniesz swoją terapię, a potem poproś kochanego doktora o jakieś tabletki!

- O czym ty, u diabła, mówisz? - syknęła przez zęby, usiłując nie okazywać strachu. - Pożałujesz tego, Piper. Pójdiesz za kratki na długo i może wtedy twoja biedna żona wreszcie odetchnie.

- Zamknij się. Zabrałaś moją babę wbrew jej woli, zmusiłaś do tego, czego nie chciała, to teraz sama przełkniesz gorzką pigułkę! - Piper zaśmiał się złowrogo, zadowolony ze swojego dowcipu i znów zerknął na spuchniętą twarz Sally. - Już nie wyglądasz tak ładnie - stwierdził kpiąco. - MacKay cię nie pozna, gdy do niego wpadniemy.

- Co ty gadasz? - spytała ostrym tonem.

I nagle z przeraźliwą jasnością pojęła, co sugerował, ponieważ gwałtownie skręcił w podjazd prowadzący do domu MacKayów. Przez szybę ujrzała na trawniku dwa dziecięce rowerki i kosiarkę, ale nigdzie nie zauważyła Roba ani bliźniaków.

- Wysiadaaj! - warknął, celując do niej ze strzelby.

Sally poczuła przyływ mdłości. To jakiś koszmar, pomyślała i potykając się, ruszyła w stronę domu. Piper przyciskał do jej żeber lufę. Co zamierza? Czy zrobi krzywdę dzieciom?

Powoli zbliżali się do ganku z obrośniętymi dzikim winem kolumnami. Może powinna spróbować uciec, aby ostrzec Roba i chłopców? Nie, to

niewykonalne, stwierdziła po namyśle. Piper szedł tuż obok, a ona była zbyt osłabiona.

Nagle rozległ się wesoły, dziecięcy śmiech i ku rozpaczy Sally zza rogu domu wybiegli Ben i Charlie. Na widok jej i Pipera zatrzymali się zaskoczeni.

O Boże, idźcie stąd, jęknęła w duchu. Otworzyła usta, żeby ich ostrzec, lecz Piper mocniej wbił lufę w jej ciało.

- Cicho! - syknął. - Ani mru-mru. - Uśmiechnął się krzywo do chłopców. - Chcecie zobaczyć coś ciekawego, dzieciaki? Chodźcie tutaj. Coś wam pokażę.

Zaczął ich przywoływać ruchem ręki i w tej chwili Sally zrozumiała, że ma szansę. Piper patrzył na dzieci. A więc teraz lub nigdy. Błyskawicznie się odwróciła, chwyciła lufę strzelby i zderzyła nią Pipera w twarz. W ułamku sekundy skoczyła do chłopców, pociągnęła ich za róg budynku i wraz z nimi zanurkowała za mały murek będący przedłużeniem ściany.

Usłyszała okrzyk bólu i gniewu. Może popełniła błąd? Przecież Piper na pewno zaraz ich dogoni. Przytuliła przerażone dzieci, a one ukryły buzie na jej ramieniu.

- Już dobrze, kochani - szepnęła. - Nie bójcie się.

Teraz nie słyszała żadnego dźwięku. Co się dzieje? Wytężyła słuch, pełna obaw, że Piper podkrada się do nich. Nie śmiała jednak wyjrzeć zza murku.

Nagle rozległ się głośny trzask drewna uderzającego o coś twardego. Zabrzmiało tak blisko, że Sally odruchowo mocniej przygarnęła bliźniaków, osłaniając ich swoim ciałem. A gdy podniosła głowę, ujrzała Roba. Stał nad nimi z grubą deską w dłoniach.

- Co tu, u diabła, się dzieje? - spytał.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Napoję cię miejscową whisky, jeśli nie zgodzisz się na prześwietlenie czaszki. Mój ojciec mawiał, że dożylny zastrzyk z tego trunku działa lepiej niż transfuzja krwi! - Sally leżała na kanapie w salonie, Rob zaś przyglądał się jej z niepokojem. Była przeraźliwie blada, miała ranę na czole i sińce pod oczami.

- Czuję się o wiele lepiej - zaprotestowała, próbując usiąść. - Głowa już mnie prawie nie boli.

- Mimo to powinnaś zrobić prześwietlenie, żeby wykluczyć pęknięcie czaszki. To skaleczenie wygląda poważnie.

- Nic mi nie jest. Cios nie był aż taki silny.

- Ale straciłaś przytomność - stwierdził Rob. - Zawiozę cię do szpitala, kiedy Ellie położy dzieci spać. Trzeba sprawdzić, jakie są skutki tego urazu. Lepiej nie ryzykować.

Z rezygnacją skinęła głową. Nie miała siły, aby się spierać. Wydarzenia tego popołudnia były zbyt oszałamiające.

- Skąd wiedziałeś, że Piper mnie tu przywiózł? Nie zauważyłam nikogo w pobliżu domu.

- Powiadomiła mnie Debbie. Najpierw zadzwoniła na policję i radiowóz jechał w pewnej odległości za furgonetką. Mój telefon stroił fochy, więc Debbie zdołała połączyć się ze mną dopiero w chwili przyjazdu Pipera. Zauważyłem cię przez okno, ale nie chciałem niczego robić, bo bałem się, że Piper może do ciebie strzelić. Ale kiedy rozmawiałem z Debbie, chłopcy wybiegli do ogrodu. Ty uciekłaś, więc pognąłem na ganek. - Rob uśmiechnął się. - Nic nigdy nie sprawiło mi takiej przyjemności, jak łupnięcie tego drania w łeb!

Znów popatrzył na poranioną twarz Sally i spoważniał. Ukląkł obok niej i wziął ją za rękę.

- Ten potwór słono zapłaci za każdy siniak i skaleczenie na twoim ciele - powiedział opanowanym głosem, w którym brzmiały nuty gniewu. - Gdybyś nie zdecydowała się na ten olimpijski sprint i nie chwyciła chłopców, to wolę nie myśleć o tym, co mogłoby się stać. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Oczy mu pociemniały, a w głosie wibrowały tłumione emocje.

- Chętnie zabiłbym tego drania... - Rob delikatnie musnął palcem jej posiniaczony policzek. - Za to, co ci zrobił. A ty uratowałaś moje dzieci.

Oczywiście, pomyślała z żalem, jest mu przykro, bo cierpię, ale jego wdzięczność to rezultat faktu, że uratowałam Bena i Charliego. Właściwie wcale jej to nie dziwiło. Synowie są dla Roba najważniejsi. Już nic im nie grozi, lecz przecież z tego powodu Rob jej nie pokocha.

Na moment przymknęła powieki i dopiero teraz poczuła opóźniony skutek doznanego szoku. Jej ciałem wstrząsnął szloch, a przed oczami zaczęły się przesuwać szybko przerażające obrazy: Piper walący metalowym prętem w biurko, szaleństwo we wzroku napastnika, jego cyniczna próba przywołania dzieci...

- Prze...praszam. - Sally nie panowała nad drzeniem głosu. - On prawie dostał Bena i Charliego. Byli tacy mali i bezbronni... Mógł ich zabić...

- Cicho, Sally. To już minęło. - Rob wziął ją w objęcia i przytulił. - Wiem, że przeżyłaś coś strasznego, ale na szczęście nic się nie stało ani tobie, ani dzieciom. Są bezpieczne, dzięki tobie. - Głos Roba lekko się załamał. - Ochroniłaś je. Naraziłaś siebie, żeby je ratować. Nikt nie uczyniłby więcej.

Czuła jego policzek przy swoim oraz kojące ciepło ciała Roba, gdy łagodnie ją kołysał, jakby uspokajał przestraszone dziecko. Jednocześnie głaskał ją po włosach, aż wreszcie przestała dygotać i wyczerpana leżała w jego ramionach.

- Już po wszystkim. - Odsunął się trochę i popatrzył na nią z uśmiechem.

Był tak blisko, że widziała czarne plamki na niebieskich tęczęwkach jego oczu. Leciutko pocałował ją w czoło, a ona westchnęła, zachwycona słodyczą tej pieśczoły. I właśnie w tej chwili zrozumiała, że kocha Roba całym sercem. Był mężczyzną jej życia, lecz jej nie potrzebował. Nadal wielbił inną kobietę. Zoe, swoją żonę. Należał tylko do niej i do swoich synów. Zoe wciąż była tu obecna. Uśmiechała się ze zdjęć, jej imię widniało na stojącej na parapecie filiżance..

Przy drzwiach ktoś cicho zakasłał. Sally podniosła głowę i zobaczyła Ellie z tacą w dłoniach. Zatrokaną twarz starszej pani nagle rozjaśnił uśmiech. A czy w jej oczach przypadkiem nie błysnęło zrozumienie, gdy przeniosła wzrok z Sally na Roba? Zastała ich w niewątpliwie wiele mówiącej pozie. Sally zarumieniła się ze wstydu.

- Moje ty biedactwo, ależ się wycierpiałaś! - Ellie postawiła tacę na stoliku obok kanapy. Sally spojrzała na dwie miski parującej zupy z soczewicy i koszyk z bułeczkami.

Jedzenie wyglądało tak apetycznie, że nagle poczuła się o wiele lepiej i nabrała ochoty na posiłek.

- Bliźniacy szybko usnęli po tych atrakcjach - oznajmiła Ellie. - Są przekonani, że to była zabawa w policjantów i złodziei. Dopytywali się, czy jutro też mogą tak się bawić! Na szczęście nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Ale ty chyba się przeraziłaś na widok policji aresztującej Pipera. Akurat wtedy przyjechałaś. - Sally przełknęła łyk pysznej zupy.

- O mało nie padłam trupem na widok doktora stojącego z tą deską nad Piperem - pogodnie przyznała Ellie. - Miałam tylko nadzieję, że nie chodzi o chłopców.

- Tym razem jeszcze nie pójdą za kratki - Rob uśmiechnął się szeroko - ale ucieszy was wiadomość, że taki los spotka pana Pipera. Prawdopodobnie sporo czasu spędzi w więzieniu, rozmyślając o swoich grzechach.

- Zastanawiam się, dlaczego on tak bardzo nienawidzi medyków - mruknęła Sally.

Ellie wyduła wargi.

- Podobno miał okropne dzieciństwo. Och, wiem, to nie usprawiedliwia jego gwałtowności, ale słyszałam, że w domu dziecka był wykorzystywany przez jakiegoś lekarza. Kiedyś powiedział, że nigdy żadnemu nie zaufa.

- Może właśnie dlatego ma obsesję na punkcie kontrolowania innych, bo jako dziecko był zdany na łaskę okrutnych dorosłych. I nie chce nigdy więcej od nikogo zależeć. Przykre doświadczenia mogą ukształtować człowieka w bardzo różny sposób. Benjamin Piper niestety stał się z tego powodu agresywnym szaleńcem. Oby jego dzieci nie odziedziczyły tych skłonności.

Rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Brzmiał natarczywie, jakby ktoś bardzo się niecierpliwił.

- Ja otworzę - oświadczył Rob. - Zostańcie tutaj. Wyszedł z pokoju, a Sally sięgnęła po fotografię Roba z Zoe i dziećmi.

- Wyglądają jak bardzo szczęśliwa rodzina. Zoe była piękną kobietą - powiedziała cicho.

Ellie wzięła tacę i przez chwilę patrzyła na zdjęcie. Jej twarz nieprzyjemnie stężała.

- Cóż, niektórzy rzeczywiście uważali ją za atrakcyjną.

- Była oszalamiająca. - Sally uśmiechnęła się. - Ona i Rob tworzyli wspaniałą parę.

Ellie wzruszyła ramionami.

- Mogli się podobać - mruknęła sucho. - Ona umiała się stroić.



- Rob chyba... się załamał po jej śmierci.

- Tak... - mruknęła Ellie. - Nigdy nie widziałam kogoś tak zdruzgotanego. Bardzo się zmienił. Od tamtej pory chyba nie spojrzął na żadną kobietę. Osobiście uważam, że to dziwne. Jest młody... - Kręcąc głową, Ellie podreptała do kuchni.

Sally uśmiechnęła się niewesoło. I pomyśleć, że przyjechała do Drumneedoch, aby trochę odetchnąć po kilku latach trudnego życia i odnaleźć spokój! Nigdy nie przypuszczałyby, że trafi na Roba, a stara miłość odżyje.

Mocno zacisnęła wargi. Nie zamierzała tak łatwo się poddać. Wykluczone! Dramat dzisiejszego popołudnia coś jej uświadomił. W najtrudniejszych sytuacjach potrafi być silna i odważna. Pewnego dnia sprawi, że Rob będzie dla niej kimś więcej niż tylko dobrym kolegą! A on pewnego dnia stwierdzi, że znów może kogoś kochać!

Głosy w holu stały się głośniejsze i do pokoju wrócił Rob ze swoją siostrą.

- Sally. kochanie! - Na miłej twarzy Liz malowało się zatroskanie. - Aż trudno uwierzyć, że spotkało cię coś takiego. Debbie powiedziała mi, co zaszło, więc musiałam sprawdzić, jak się czujesz. Dobrze, że aresztowano tego strasznego typu. Chyba kompletnie oszalał! - Liz umilkła, najwyraźniej zasmucona. - Nie myśl źle o Drumneedoch, dobrze?

- To nie jest jedyne miejsce na ziemi, po którym ganiają wariaci - z uśmiechem stwierdziła Sally. - Uwielbiam Drumneedoch. Po prostu miałam pecha.

- Wiem od Roba, jaka byłaś dzielna. Ochroniłaś dzieci. Gdyby ten Piper dostał je w swoje łapy, to Bóg raczy wiedzieć, co by się stało. - Liz bezwiednie zadrżała. - Tak sobie myślę... - dodała weselej - że chyba najwyższy czas, żebyś poznała w miarę normalnych członków naszej społeczności. Zapraszam cię do nas na kolację w ten weekend. Będzie parę osób: mój mąż Stuart, Olga Marchant i Fergus Baines, kierownik administracji. Jeszcze go nie znasz, bo był na urlopie.

Sally uśmiechnęła się do siebie. Nie znała Fergus Bainesa, ale dużo o nim słyszała. Wynn wychwalała go pod niebiosa. Według niej był niesamowicie przystojny i wszechstronnie utalentowany. Innymi słowy - po prostu cudo!

- Wspaniale! - Liz wzięła uśmiech Sally za wyraz zgody. - Rob przywiezie cię do nas w sobotę wieczorem. A do tej pory staraj się nie wpaść w żadne tarapaty!

Życie zadziwiająco szybko wróciło do normy. Prześwietlenie czaszki nie wykazało uszkodzeń, toteż Sally po trzech dniach podjęła pracę. Skaleczenia na twarzy ładnie się goiły, a ciemne zasinienia pod oczami zniknęły.

Gorsze okazały się skutki natury emocjonalnej. Sally wiedziała, że będą długotrwałe. Nie chodziło o przeżycia związane z napadem, choć wywołały one szok. Bardziej wstrząsające okazało się jednak coś innego. Gdy Rob trzymał ją w ramionach, zrozumiała, że właśnie on jest tym mężczyzną, którego zawsze będzie kochać.

Właśnie skończyła dyżur, gdy Rob wszedł do gabinetu. W jednej ręce trzymał kubek parującej kawy, w drugiej zaś kartkę papieru.

- Pomyślałem, że chemie przeczytasz ten Ust, choć to niewesoła lektura.

Sally szybko przebiegła wzrokiem kilka linijek tekstu napisanego dużymi, dziecięcymi bazgrołami na kawałku pakowego papieru.

„Drodzy doktorzy, przepraszam za to, co was spotkało. Mam nadzieję, że nie jesteście bardzo ranni. To wszystko moja wina. Nie powinnam przyprowadzać do was dzieci. Dlatego Benjamin się wściekł. Ale on jest dobry w środku. Chce jak najlepiej dla mnie i dzieciaków”.

List był podpisany przez Beth.

- Piper niezłe ukrywa to dobro, prawda? - mruknął Rob. - Najgorsze jest to, że Beth nie widzi jego złych cech i obwinia siebie. Chciałbym, żeby podczas jego pobytu w więzieniu przejrzała na oczy, ale wątpię, czy to jest możliwe.

- Ja też - z westchnieniem przyznała Sally. - Dobrze, że przynajmniej nie pochwała jego zachowania. Wiesz może, jak się czuje?

- Dzwoniłem dzisiaj do szpitala. Nadal ma podwyższone ciśnienie, sto osiemdziesiąt na sto, i do końca ciąży musi leżeć, ale krwawienie ustało. W przypadku stanu przedrzucawkowego wykonają cesarskie cięcie. A matka Beth z chęcią zająłaby się wnukami.

- Biedna dziewczyna. Może to pierwszy wypoczynek w jej życiu.

Do gabinetu zajrzała Wynn.

- Telefonowała pani Skinner. Jej mąż podobno bardzo źle się czuje. Pytała, czy moglibyście przyjechać.

- Ostatnio rzeczywiście kiepsko wyglądał. Podała jakieś objawy?

- Była bardzo zdenerwowana, więc jej nie wypytywałam. Ale powiedziała, że na domiar złego zgubił się szczeniak i Mick chce iść go szukać. Wtedy na pewno gdzieś zabłądzi.

Rob jęknął.

- Micka trudno uspokoić, gdy jest podekscytowany. Skoro się uparł, że pójdzie, Sheena nie zdoła go zatrzymać. A jeśli na dodatek trzeba zająć się Billem, to sam nie dam rady. Pojedziesz ze mną, Sally?

- Oczywiście. Skinnerowie chyba łatwo nie wpadają w panikę. Jeśli proszą o wizytę, to znaczy, że naprawdę potrzebują pomocy.

Sheena Skinner, drobna, ładna kobieta, miała zmartwioną minę i chyba niedawno płakała. Świadczyły o tym zaczerwienione powieki.

- Dzięki Bogu przyjechaliście! - zawołała. - Mick poszedł nad rzekę szukać psiaka, a ja nie mogę zostawić Billa samego. Próbowałam dodzwonić się do zięcia, ale chyba jest na polu.

- Uspokój się, Sheena. - Rob poklepał ją po ramieniu.

- Zaraz poszukam Micka, a jeśli go nie znajdę w ciągu pół godziny, sprowadzę ludzi ze wsi, żeby mi pomogli.

- Był bardzo rozkojarzony z powodu babci. - Sheena sięgnęła po chusteczkę i wytarła nos. - Zawsze go uwielbiała i Mick nie potrafi pojąć, dlaczego teraz jej tu nie ma. Trudno nad nim panować, a zaginięcie szczeniaka przepełniło miarę.

- Westchnęła ciężko. - Mick to wspaniały, kochający syn, ale czasem wydaje mi się, że obowiązki mnie przerastają, zwłaszcza gdy wszystko naraz się wali!

- Radzisz sobie doskonale, Sheena - zapewnił ją Rob.

- Nie można się dziwić, że Mick czuje się zagubiony. On i babcia zawsze się rozumieli. Doktor Sally porozmawia z Billem, a ja rozejrzę się za Mickiem.

Sheena posłała Robowi spojrzenie wyrażające wdzięczność i ulgę. Następnie zaprosiła Sally do domu.

- Tak się cieszę, że przyjechaliście - rzekła z bladym uśmiechem. - Doktor Rob ma dobry wpływ na Micka. Czasem zabiera go razem ze swoimi chłopcami na mecz i do kina, kiedy my nie mamy czasu. To prawdziwy przyjaciel.

- Mogę to sobie wyobrazić. Miniony rok chyba był dla was trudny.

- Problem w tym - oświadczyła Sheena - że jestem za stara, żeby opiekować się starszymi ode mnie kobietami i młodszymi mężczyznami! Powinnam iść na zieloną trawkę!

Obie parsknęły śmiechem. Cóż za poczucie humoru, z podziwem pomyślała Sally.

Nawet w ciemnej sypialni było widać, że Bill Skinner jest poważnie chory. Leżał na łóżku, oparty o kilka poduszek.

Jego cera miała żółtawy odcień, a spojrzenie przekrwionych oczu było zamglone.

- Nie czuję się zbyt dobrze - zamruczał. - To pewnie jakiś wirus.

- Od dawna źle się pan czuje? - Sally dotknęła ręką czoła Billa. Stwierdziła, że jest wilgotne i gorące.

- Od tygodnia narzeka na ból głowy i nudności - oświadczyła Sheena - ale chciał spędzić owce do zagrody, bo chyba pogorszy się pogoda. Na szczęście już złożył w pracy wymówienie i dzisiaj przyjedzie nam pomóc.

- Ma pan jeszcze inne objawy? - Sally wyjęła z torby aparat do mierzenia ciśnienia.

- Zauważyłem trochę krwi w moczu. Jeszcze nigdy nie czułem się tak źle, pani doktor. Co to może być?

Ciśnienie krwi Billa okazało się niepokojąco niskie - osiemdziesiąt na czterdzieści. Mogło to oznaczać wstrząs septyczny, występujący w wyniku ogólnej infekcji, gdy wątroba nie jest w stanie odpowiednio funkcjonować.

Co dolega temu człowiekowi? Sally gorączkowo analizowała różne możliwości. Bill nie jeździł za granicę, więc odpada malaria i tyfus. Może wirusowe zapalenie wątroby? Cokolwiek to było, wymagało leczenia szpitalnego.

Sally delikatnie odsunęła piżamę i spojrzała na klatkę piersiową Billa. Na widok czerwonej wysypki krwotocznej gwałtownie wciągnęła powietrze. Czyżby posocznica?

Spojrzała przez okno na zielone wzgórze i pasące się owce, po czym przeniosła wzrok na osłabionego chorobą mężczyznę. Na jego nadgarstku nadal znajdował się plaster założony kilka dni temu przez Roba. W umyśle Sally zakiełkowało podejrzenie.

- Czy Bill zajmuje się teraz owcami? - spytała Sheenę.

- Wiem, że jagnięta nie rodzą się o tej porze roku, ale może są inne powody?

Zaskoczona tym pytaniem Sheena skinęła głową.

- Tak, często się zdarza, że któraś owca wpadnie do rowu lub stawu. Bill ma z nimi pełne ręce roboty.

Podejrzenia Sally zaczęły się krystalizować.

- Stan Billa jest dość poważny. Należy jak najszybciej przeprowadzić szczegółowe badania i rozpocząć leczenie. Zaraz wezwę karetkę, a teraz

zrobię mu zastrzyk z penicyliny, żeby nieco powstrzymać rozwój infekcji. W szpitalu prawdopodobnie podadzą Billowi kroplówkę z antybiotykiem. Czy pani mąż nie jest uczulony na penicylinę?

- Nie, pani doktor. - Sheena przecząco potrząsnęła głową. - Mogę jakoś pomóc?

- Proszę spakować dla męża trochę niezbędnych drobiazgów - szczoteczkę do zębów, przybory do golenia, piżamę.

Sheena zaczęła żwawo się krzątać, zadowolona, że może się przydać, a Sally ujęła dłoń Billa.

- Proszę się nie martwić. Szybko postawimy pana na nogi - zapewniła go trochę na wyrost. Przepelniała ją szczere współczucie, gdy patrzyła na pooraną zmarszczkami, pożółkłą twarz mężczyzny. Było to oblicze uczciwego, ciężko pracującego człowieka, który od pewnego czasu boryka się z przerastającymi go problemami. Teraz miał zamknięte oczy i wyglądał na bardzo chorego.

Z parteru dobiegł głos Roba. Sally miała nadzieję, że odnalazł Micka i teraz oceni stan Billa. Przez telefon komórkowy połączyła się ze szpitalem w Inverness, aby powiadomić izbę przyjęć. Później podzieliła się swoimi podejrzeniami z lekarzem dyżurnym i Robem.

- Może Bill cierpi na chorobę Weila? - zasugerowała. - Wspomniał o inwazji szczurów i niedawno wyciągał ze stawu owcę. Krętki mogły dostać się do organizmu przez to skaleczenie na rękę. Co o tym sądzisz?

- To całkiem możliwe - przyznał Rob. - Nic dziwnego, że Bill tak mamie wygląda. Choroba Weila to nie przelewki, rzutuje na pracę wątroby i nerek. Miejmy nadzieję, że w porę wykryliśmy przyczynę, zanim nerki zaczną wyśiadać.

- Biedna Sheena. I tak ma tyle zmartwień... - westchnęła Sally.

- W szpitalu wykonają punkcję lędźwiową i testy wątrobowe. Brak drobnoustrojów i podwyższony poziom limfocytów w płynie mózgowodzeniowym wskazywałyby na gruźlicę lub brucellozę, ale równie dobrze może to być Weil. Niezależnie od rezultatu badań, Bill przez pewien czas nie będzie mógł pracować. - Rob uśmiechnął się niewesoło. - Jak widać życie na prowincji i świeże powietrze nie są rękojmią zachowania dobrego zdrowia.

To prawda, pomyślała Sally, odprowadzając wzrokiem karetkę. Manchester jest zatłoczony i przesycony spalinami, lecz mieszkańcy wsi także mają problemy zdrowotne.

Sheena właśnie szła do samochodu, aby pojechać za karetką. Nagle odwróciła się, jakby sobie coś przypomniała.

- Rob, znalazłeś Micka? W tym zamieszaniu całkiem o nim zapomniałam!

- Znalazłem. Jak jastrząb pilnuje Barnaby'ego. Psiak zawędrował na skalną półkę nad rzeką, ale wszystko jest pod kontrolą, bo zjawił się twój zięć. Został z Mickiem, a ja wróciłem po linę potrzebną do wyciągnięcia szczeniaka.

- Wciąż nowe kłopoty! - Sheena wzniosła oczy ku niebu. - Nie chcę być niedobra dla Micka, ale nie pozwolę mu zatrzymać tego zwierzaka. Najbliższe tygodnie i tak będą trudne. - Otworzyła drzwi auta. - Bardzo dziękuję wam obojgu. John, mój zięć, zabierze Micka do siebie. Bill i ja wkrótce przeprowadzimy się do chaty, a córka i John zamieszkają tutaj. Może wtedy odetchniemy.

Sally i Rob zaczęli szybko schodzić ze wzgórza. U jego stóp płynęła dość szeroka rzeczka. Woda szumiała i bulgotała, a wokół wystających z niej kamieni tworzyły się spienione wiry, świadczące o dużej sile nurtu.

Tuż nad brzegiem Sally ujrzała mężczyznę szaleńczo machającego ręką.

- Chodźcie tu! - zawołał. - Szybciej! Dłużej go nie utrzymam!

Potyając się, ruszyli biegiem po nierównym, spadzistym terenie. Sally kilkakrotnie zawadziła o rosnące tutaj krzaki jeżyn, które porwały jej rajstopy i podrapały nogi. Nagle rozległ się krzyk i odgłos chrupnięcia, a w pobliżu jazgotliwie rozszczękał się psiak.

- Mick chyba wpadł do wody - powiedział Rob. - Idziemy! - krzyknął. - Trzymajcie się!

Dotarli na brzeg, gdzie zięć Sheeny mocno trzymał rękę zanurzonego w wodzie Micka, który nie mógł znaleźć oparcia dla nóg i miotając się, stopniowo wciągał Johna.

- Nie dam rady - jęknął mężczyzna. Zachwiał się na błotnistej ziemi i przewracając się, wypuścił dłoń Micka.

Mick zanurzył się po szyję, a prąd pociągnął go w dół rzeki. Rob błyskawicznie zrzucił buty, koszulę i spodnie. Gdy wchodził do wody, Sally ujrzała jego muskularny tors i szerokie ramiona. Po chwili Rob płynął kraulem w stronę Micka.

- Och, Rob... - Sally splotła ręce. - Uważaj! - Z przerażeniem patrzyła na dwie szybko oddalające się głowy.

- Zaraz im pomogę. - John także się rozbierał. - Próbowałem zatrzymać Micka, ale mi się wyrwał. Był pewien, że szczeniak skoczy do rzeki, i pobiegl go ratować.

Sally dopiero teraz stwierdziła, że Barnaby stoi na małym skalnym występie. Miała nadzieję, że nie skoczy do wody. Znow spojrzala na Roba, który właśnie dotarł do Micka. Czy zdoła pokonać silny nurt i doholować chłopaka'? Zerknęła na zwój liny i krzyknęła do Johna, aby obwiązał sieniã w pasie. Gdyby obu mężczyznom udało się przewiązać nią Micka, byłoby im łatwiej go ciągnąć.

Minęła chyba cała wieczność, zanim John dopłynął do Roba i Micka. Był kiepskim pływakiem, ale posuwał się z prądem, a Rob powolutku włókł szarpiącego się Micka do brzegu. Po chwili John zarzucił pętlę liny na ramiona chłopaka i zaczął go holować wspólnie z Robem.

Sally odetchnęła z ulgą, gdy wydostali się na brzeg kilkadziesiąt metrów dalej. Teraz znow spojrzala na psiaka. Podskakiwał tuż nad wodą i szaleńczo na nią szczeakał. Gdyby wpadł do rzeczki, chyba nie udałoby się go uratować.

Sally bez namysłu zsunęła pantofle i pochyłona, aby nie stracić równowagi, powolutku dotarła do występu, na którym miotał się Barnaby. Psiak odwrócił się i na jej widok zamerdzał ogonkiem.

- Nie ruszaj się, piesku. Zaraz będziesz bezpieczny... - powiedziała cicho. - Wyciągnęła ręce, a Barnaby skoczył prosto w jej ramiona i polizał ją po policzku. Przytuliła zwierzaka i ostrożnie wróciła na brzeg. Rob właśnie zdjął z Micka mokrã odzież i ubrał go w swojà koszulę i marynarkę.

- Na razie ponosisz moje ciuchy, Mick. Lepiej, żebyś nie dostał zapalenia płuc.

Ujrzawszy Barnaby'ego, Mick natychmiast zapomniał o przymusowej kąpieli i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Masz go! - zawołał radośnie. - Jest niegrzeczny!

- To mały szczeniaczek. Ma prawo robić głupstwa - oznajmił Rob, wkładając spodnie. - Trzeba znaleźć mu opiekuna, który będzie o niego dbał. Na farmie już jest kilka psów, Mick. Chcesz, żebyśmy oddali Barnaby'ego w dobre ręce?

- Tak. - Mick entuzjastycznie kiwnął głową. - Wy go weźcie, pan i doktor Sally. Zostaniecie jego tatã i mamã. Razem byście go kochali, prawda? - Mick patrzył na nich rozpromieniony.

Przelotnie spojrzeli na siebie i Sally dostrzegła tańczące w oczach Roba iskiereki humoru.

- Mick rzeczywiście na nas liczy - lekkim tonem stwierdził Rob. - Weźmiemy psa, ale tylko na pewien czas. Później znajdziemy mu wspaniały dom, więc nie musisz się martwić.

Mick mocno uściskał Sally.

- Dziękuję za to, że go uratowałaś. - Pogłaskał przytulonego do niej szczeniaka. - Teraz będzie ci dobrze - oświadczył z przekonaniem, ujął Johna pod ramię i zadowolony podreptał do domu.

Sally i Rob odprowadzili ich wzrokiem.

- Mick jest taki serdeczny, ale żal mi Sheeny. - Sally westchnęła. - Ma tyle kłopotów. To niesprawiedliwe.

- Sheena rzeczywiście jest teraz przemęczona, ale chlubi się Mickiem i jego osiągnięciami. Gdy trochę odsapnie, znów będzie tryskać optymizmem.

Sally trochę się odprężyła. To prawda, pomyślała. Ludzie potrafią przystosować się do każdej sytuacji, jeśli muszą. Sheenę należy podziwiać, a nie użalać się nad nią.

- Wracajmy do samochodu. - Rob przywiązał linkę do obroży psa. - Jest cholernie zimno, gdy człowiek stoi tu półnago. Woda była lodowata. Przydałby się łyk szkockiej. Chodź, Sally, pomogę ci wdrapać się na zbocze.

Już miała ująć wyciągniętą rękę, co wydawało się całkiem naturalne, lecz nagle poczuła, że jej ciało reaguje na bliskość Roba i zawahała się. To wszystko było takie intymne: ich dwoje wśród zielonych wzgórz, szmer płynącej wody, dolatujący z oddali świergot ptaka.

Sally przełknęła ślinę i zadrżała, oszołomiona zdradzieckim dreszczem pożądania, które ogarnęło ją jak płomień. Odwróciła się, by Rob nie zobaczył malującego się na jej twarzy pragnienia. Nie zamierzała znów zachować się nieodpowiedzialnie. Już raz się skompromitowała.

Zdecydowanie cofnęła rękę. Rob odwrócił się, zdumiony.

- O co chodzi? - spytał, unosząc brwi.

- O nic. Lepiej sama się wdrapię. Będzie... wygodniej. - Jej głos lekko się załamał.

- Jak sobie życzysz.

Pomaszerował w górę zbocza, zostawiając Sally za sobą. Ona zaś usiłowała poskromić zakłopotanie i żal. Przyjacielski gest Roba mógł oznaczać tak mało - lub tak dużo.

Dotarli do samochodu i Rob wsadził szczeniaka za tylne siedzenie. Następnie spojrzał na nią i uśmiechnął się blado, jakby zrozumiał, że ona chce zachować dystans.



- Udany dyżur, prawda, doktor Jones?

Skinęła głową i popatrzyła w dół zbocza, znów boleśnie świadoma nagości Roba. Tak bardzo pragnęła go dotknąć, objąć i przytulić. Lekki wiatr zaróżowił jej policzki i łagodnie rozwiął włosy. Nie był zimny, lecz mimo to zadygotała.

- To nie ja potrzebuję marynarki - mruknął Rob i wyjął z auta sweter. - Otul się tym. - Zrzucił jej pulower na ramiona i znów się uśmiechnął. - Coś nie tak, Sally? Chyba jesteś trochę rozdrażniona.

Nadal trzymał dłonie na jej barkach i patrzył na nią uważnie. Umknęła spojrzeniem w bok, lecz Rob ujął ją pod brodę i odwrócił twarzą do siebie.

- Wybacz - szepnął - ale od dawna chciałem coś zrobić i nie będę dłużej czekać.

Nieoczekiwanie przygarnął ją do siebie i musnął ustami jej miękkie wargi. Tak ją to zdumiało, że westchnęła z wrażenia, a jej serce zaczęło walić w szaleńczym rytmie. Czowała ciepło obejmujących ją ramion, a tłumione od dawna pragnienie sprawiło, że osłabła z pożądania.

Teraz już nie mogli się powstrzymać. Usta Roba poczynwały sobie coraz śmieiej, pieściły i prowokowały, a dłoń natychmiast odnalazła miękkość piersi pod jedwabną bluzką.

Wszystko stało się tak szybko... W jednej krótkiej chwili spełniły się marzenia, które Sally uważała za nierealne. Ledwie mogła oddychać, oszołomiona tym, co się dzieje. Zatraciła się w objęciach Roba, wtuliła w niego, rozchyliła usta. Miała wrażenie, że cofnęła się w czasie, że znów ma dwadzieścia trzy lata.

Dawny Rob zmienił się pod wieloma względami, ale jedno pozostało takie samo: nadal całował najlepiej na świecie!

I był najbardziej seksownym mężczyzną, jakiego знаła. Zrzuciła mu rękę na szyję, gotowa oddać się mu bez reszty.

Rob jeszcze mocniej ją przytulił, a ona poczuła, jak bardzo jest podniecony.

- Chcę się z tobą kochać - mruknął. - Od tak dawna...

- Odsunął się nieco i patrzył na nią z żarem w oczach. - Powiedz, że ty też mnie pragniesz - poprosił wibrującym z emocji głosem.

- Wiesz, że tak - szepnęła. - Pragnę cię, Rob.

Patrzyli sobie w oczy, dobrze wiedząc, do czego zmierzają. Wargi Roba znów spoczęły na jej ustach, gorące i namiętne. Ale właśnie wtedy

zabrzączał telefon komórkowy Roba, psiak zaczął ujadać, a oni uświadomili sobie, że nadal pracują. Prawdziwy świat znów dawał o sobie znać.

- Co za pech. - Rob uśmiechnął się smętnie i wziął ją za rękę. - Akurat teraz, gdy zacząłem nadrabiać stracony czas...

- Znów leciutko musnął ustami jej wargi i odebrał telefon.

Wracali do wsi w milczeniu. Sally raz po raz spoglądała na przystojną twarz Roba, a jej serce śpiewało. Robowi na niej zależy! Na pewno nie pocałował jej tylko pod wpływem uroku jesiennego wieczoru.

W pewnej chwili odwrócił się i posłał jej rozradowane spojrzenie, jakby jego także przepelniało szczęście. Ale czy ją kocha? Jutro pójda z wizytą do jego siostry. Spędzą ten wieczór razem, a później Rob odprowadzi ją do domu. I kto wie, co z tego wymknie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Sally, wyglądasz oszalamiająco! Ta koralowa bluzka cudownie pasuje do twojej karnacji. - Liz serdecznie przywitała Sally i wzięła od niej bukiet frezji. - Mmm... cóż za zapach - westchnęła z zachwytem - Uwielbiam te kwiaty. A gdzie podział się Rob? Przywiózł cię, prawda? Pewnie marzył o drinku.

Sally uśmiechnęła się blado. Prawie nie słyszała miłej paplaniny Liz, zmartwiona zachowaniem Roba. Coś było nie tak, choć nie miała pojęcia co. Jadąc z nią tutaj, prawie wcale się nie odzywał.

A ona od rana myślała tylko o przyjęciu u Liz. Chciała znów być z Robem, wziąć go w ramiona, jak najszybciej zacząć ich romans w miejscu, w którym wczoraj przerwali. Było tyle rzeczy, których powinni dowiedzieć się o sobie, tyle do opowiedzenia. A teraz stała przy oknie w przestronnym domu Liz i łykała łzy, patrząc na ciemną zatokę i migoczące jak brylanty na aksamicie światła Drumneedoch.

Czuła się zdruzgotana, kompletnie zaskoczona jego zachowaniem. Od wczoraj tak bardzo się zmienił. Nie zostało ani śladu po tamtej namiętności. Nagle stał się kimś prawie obcym, jak gdyby ledwie się znali.

Przez cały dzień poruszała się jak spowita chmurką szczęścia. Marzyła o wspólnej przyszłości z Robem, wciąż powtarzała sobie, że wczorajszy wieczór nie był tylko wytworem jej wyobraźni. Tak długo sądziła, że Rob nigdy się nie zaangażuje, a on nagle wyznał, że pragnie się z nią kochać. Uwierzyła w to, mogła więc okazać mu swoje uczucia, odpowiedzieć na jego pieszczoty.

Przed południem nie spotkała go w przychodni. Nie przejęła się jego nieobecnością, gdyż i tak była w siódmym niebie, a wieczorem mieli iść do Liz.

Po powrocie do domu długo się zastanawiała, co na siebie włożyć. Chciała wyglądać pięknie. W końcu wybrała swoją ulubioną koralową jedwabną bluzkę i granatowe spodnie. Kolor bluzki wspaniale podkreślał tycjanowski odcień jej włosów, które otaczały twarz niemal jak z renesansowego obrazu. Głęboki dekolt bluzki ujawniał wypukłość piersi, a dopasowane spodnie podkreślały smukłość nóg.

- Sally, nie masz za grosz wstydu - zamruczała do siebie ze śmiechem, obracając się na palcach przed lustrem w sypialni. Cóż, po tygodniu poważnej pracy chyba mogła sobie pozwolić na trochę miłej swobody?

Usłyszała dzwonek i jej serce gwałtownie załomotało. Już za moment miała znaleźć się w objęciach Roba, poczuć jego wargi na swoich. Jak na skrzydłach pomknęła do drzwi.

Wyglądał wspaniale w ciemnej kurtce i jasnoniebieskiej koszuli. Ale radosny uśmiech Sally zbladł, gdy spojrzała na jego twarz: zachmurzoną, wręcz ponurą.

Cofnęła się o krok. Rob przesunął spojrzeniem po jej sylwetce i zacisnął usta, a w jego oczach zamigotało coś dziwnego. Smutek? Udręka?

- Czy... coś się stało, Rob? Masz taką zasepioną minę. Ujęła go za ramię i patrzyła na niego pytająco, spragniona jakiegoś serdecznego gestu lub odrobiny czułości.

- Nie, nic się nie stało. - Zaprzeczył ruchem głowy i uwolnił ramię z uścisku. - Przepraszam za spóźnienie. Musiałem dzisiaj przemyśleć sporo spraw. Lepiej już chodźmy.

Raptownie się odwrócił, a Sally otworzyła szeroko oczy. Dlaczego jest taki oschły?

- Rob, z dziećmi wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście. Chodź, robi się późno.

Przez chwilę sądziła, że rozumie, w czym rzecz. Rob jest trochę spięty, ponieważ się śpieszył, a Ben i Charlie prawdopodobnie dokazywali i nie chcieli iść spać.

- Jestem gotowa - rzekła pogodnie. - Z przyjemnością odwiedzę twoją siostrę i poznam jej przyjaciół.

Rob nie odpowiedział. Podczas jazdy patrzył prosto przed siebie i nic nie mówił. Sally przygryzła wargi i gorączkowo zastanawiała się, o co chodzi. Rob nie wspomniał ani słowem o tym, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Pomijanie tego milczeniem było przykre i niegrzeczne.

- Dzwoniłam do szpitala - spróbowała jeszcze raz. - Wyniki badań Billa Skinnera rzeczywiście sugerują, że cierpi na chorobę Weila. Przez tydzień będzie dostawał dożylnie benzylpenicylinę. Całe szczęście, że Sheena nas wezwała.

Żadnej odpowiedzi. Co się stało?

- Myślałam, że dzisiaj zajrzysz do przychodni. Zawsze rano sprawdzasz korespondencję.

- Byłem zajęty w domu. Nie mogłem się wyrwać. Sally poczuła przypływ rozdrażnienia. Czy Rob nie może jej powiedzieć, co się dzieje? Ale on bez słowa ostro skręcił w podjazd przed domem Liz, a Sally niechcący uderzyła

ramieniem o jego łokieć. Spojrzała na niego, pewna, że teraz wreszcie ją przytuli.

Myliła się. Rob wyskoczył z auta, otworzył jej drzwi i wraz z nią pomaszerował do wejścia. Zostawił ją z Liz, a sam podszedł do jakiegoś mężczyzny w głębi pokoju.

Z trudem powstrzymywała łzy. Czyżby Rob po prostu nią się bawił? Nie, to niemożliwe. Owszem, czasem bywa w złym nastroju, ale na pewno ma to związek z przeszłością.

Wszyscy jego znajomi uważają go za dobrego, sympatycznego i serdecznego człowieka. Sally widziała, jak Rob traktuje swoje dzieci i pacjentów. Nie mógłby świadomie sprawić komuś przykrości. To nie leżało w jego naturze.

W końcu podjęła decyzję. Dziś wieczorem, gdy wyjdą od Liz, musi się dowiedzieć, dlaczego Rob nagle tak się zmienił. Nie zamierzała dać się spławić bez słowa wyjaśnienia.

- Grosik za twoje myśli - powiedział ktoś wesoło.

Odwróciła się i ujrzała Stuarta, męża Liz, potężnie zbudowanego mężczyznę o rumianej twarzy, z nieodłącznym cygarem w ustach. Wyglądał na kogoś, kto potrafi cieszyć się życiem. W jednej ręce trzymał szklanekę whisky, a w drugiej - kieliszek szampana.

- Chyba byłaś nieobecna duchem. - Stuart z uśmiechem podał jej kieliszek.

- To chwila refleksji? Mam nadzieję, że już doszłaś do siebie po ataku Benjamina Pipera.

- Tu rzeczywiście dużo się dzieje. - Zaśmiała się z przymusem. - Nie można narzekać na nudę.

- Miło mi to słyszeć. Długo zostaniesz w Drumneedoch?

- Oby jak najdłużej. - Obok nich zmaterializowała się Liz z tacą pełną kanapek. - Już powiedziałam temu mojemu bratu, że nawet po powrocie Lorny w przychodni przyda się jeszcze jeden lekarz. Prawda, Fergus? - Chwyciła za ramię stojącego w pobliżu piegowatego blondyna o chłopięcym wyglądzie. - Fergus, pozwól, że ci przedstawię Sally Jones.

- Witaj. Jestem Fergus Baines. - Miody człowiek popatrzył z uznaniem na smukłą figurę Sally i entuzjastycznie uściśnął podaną dłoń. - Słyszałem o tobie same superlatywy. Ja, za swoje grzechy, kieruję administracją. Podobno zadebiutowałaś tutaj imponująco! Twoja uroda też robi wrażenie.

Jego spojrzenie wyrażało nieskrywany podziw, toteż Sally odpowiedziała uśmiechem. A więc to jest ten złoty chłopak, o którym opowiadała Wynn.

Sprawił wrażenie radosnego psiaka - sympatycznego i rozbijającego. Nie ulegało wątpliwości, że Liz chodzi po głowie romans z Sally i Fergusiem w rolach głównych. To zabawne, że Liz nie wzięła pod uwagę swego brata jako kandydata do takiej roli, pomyślała Sally.

- Wybacz, Fergus. - Sally oprzytomniała. - Co mówiłeś?

- Pytałem, czy miałaś czas na zwiedzanie okolicy.

- Niestety nie - przyznała. - Byłam bardzo zajęta.

- Fergus zna te strony jak własną kieszeń - oznajmiła Liz. - Chętnie cię oprowadzi.

- Z radością. Lubisz muzykę, Sally? Ja uwielbiam, a w mieście często odbywają się koncerty. Byłaś na jakimś?

- Nie..., jeszcze nie - odparła ostrożnie, trochę zaniepokojona jego nadmiernym zapałem.

- To wspaniale! - zawołał Fergus. - Kupię bilety i w przyszłym tygodniu wybierzemy się do filharmonii. Będziesz zachwycona! A jutro możemy iść na spacer po wzgórzach. Oczywiście, jeśli pogoda pozwoli - dodał pospiesznie na widok wahania Sally.

- Nie jestem pewna co do jutrzejszego dnia, ale z przyjemnością pójdę na koncert - powiedziała z uśmiechem.

Czemu nie, pomyślała niewesoło. Poszukała wzrokiem Roba i ich oczy na moment się spotkały. Popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i zerknął na Fergusia. Trwało to krótko, lecz Sally odniosła wrażenie, że Rob cierpi.

Wieczór dziwnie się dłużył, choć Liz podała pyszne potrawy, goście okazali się miłymi ludźmi, a gospodarze umieli stworzyć ciepłą atmosferę. Byli dobraną parą. Sally kilkakrotnie zauważyła, jak z uśmiechem wymieniali spojrzenia lub porozumiewali się skinieniem głowy. Ze smutkiem pomyślała, że ona chyba nigdy nie znajdzie takiego szczęścia.

Usiłowała zapomnieć o swoich uczuciach i brać udział w wesołej rozmowie, lecz ponura mina Roba działała na nią deprymująco. Czy ten człowiek nigdy nie przestanie żyć przeszłością? Musiała z rozpaczą przyznać, że chyba nie zdoła wygrać w konkurencji z duchem Zoe.

Pogrążona w niewesołych myślach, całkiem straciła apetyt i ledwie spróbowała pysznego pieczonego łososa. Czuła się oszukana przez Roba. Prowokował ją, rozbudził jej uczucia i porzucił, gdy odezwały się wyrzuty sumienia. Czy dręczyłyby go do końca życia, gdyby pokochał inną kobietę? Postanowiła zadać mu to pytanie, gdy będzie ją odprowadzał.

- Miałam nadzieję, że znów panią spotkam. - Siedząca obok Sally pani Marchant położyła dłoń na jej ramieniu. - Jestem niezmiernie wdzięczna za pani pomoc. Czuję się dużo lepiej!

- I wygląda pani dużo lepiej - z uśmiechem odparła Sally. - Wkrótce będzie pani bardziej aktywna niż ostatnio!

- To całkiem możliwe. W najbliższym czasie moje życie ulegnie zmianie, nie tylko z powodu stanu zdrowia.

- Co się dzieje, panno Marchant?

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Jestem Olga. Cóż, to w końcu musiało się zdarzyć. - Starsza pani trochę posmutniała. - Z powodu redukcji etatów przechodzę na emeryturę. Ta wiadomość była jak grom z jasnego nieba. Och, wiem, że wielu ludzi marzy o wcześniejszej emeryturze, ale mnie ta perspektywa przeraża. Szkoła to całe moje życie.

Sally ze współczuciem patrzyła na zmartwioną twarz Olgi. Pewnie czuła się teraz nikomu niepotrzebna. Sally westchnęła. Sama zaczynała rozumieć, co oznacza odrzucenie.

- Na pewno znajdziesz sobie mnóstwo zajęć - zapewniła, aby dodać Oldze otuchy. - Słyszałam, że w Drumneedoch są różne kluby i kółka zainteresowań.

- Masz rację - przyznała Olga. - Prawdę mówiąc, mało znam tę okolicę. Muszę kupić sobie psa i zacząć zwiedzać.

Sally nagle doznała olśnienia.

- Wspaniale! - zawołała. - Chyba znaleźliśmy dom dla Barnaby'go - rzekła do Roba, zapominając o jego przykrym zachowaniu, i znów odwróciła się do Olgi. - Myślisz poważnie o posiadaniu psa? Jeśli tak, to mam dla ciebie najmilszego szczeniaka pod słońcem! Należy do Micka Skinnera, który chciałby go oddać w dobre ręce. Rob wczoraj wyciągnął Micka z rzeki, kiedy usiłował złapać tego psiaka... - Urwała, przypomniawszy sobie, czym skończył się tamten wieczór. Rob pewnie też o tym pomyślał. Spuściła wzrok i poczuła, że się czerwieni.

- Cudownie! - Olga najwyraźniej nie zauważyła jej zmieszania. - Od pewnego czasu chodzi mi to po głowie, ale jeszcze nie szukałam żadnego zwierzaka. Z przyjemnością poznam Barnaby'ego, jeśli to możliwe.

- To dobry pomysł - stwierdził Rob, a Sally drgnęła zaskoczona, ponieważ od dawna milczał. Teraz na jego wargach pojawił się cień uśmiechu. - Trudno o lepszego opiekuna niż moja dawna nauczycielka. Mick będzie zachwycony.

- Chyba mieliście wczoraj masę wrażeń - zauważyła Liz. Sally zerknęła na Roba. Patrzył w swój talerz.

- Biedna Sally! - jęknęła Liz. - Rob bez przerwy funduje jej jakieś przygody. Uważaj, Rob, bo stracisz ten skarb w osobie Sally, gdy wróci Lorna.

Rob zmierzył Sally kamiennym spojrzeniem.

- Taka dziura jak Drumneedoch i tak nie jest odpowiednim miejscem dla młodej ambitnej lekarki - oświadczył, wypił łyk wina i poruszył kieliszkiem, aż płyn zawirował. - Ktoś taki jak Sally nie powinien pracować w dusznej atmosferze małej miejscowości.

Oczywiście, pomyślała. Rob cofa się jak szalony. Boi się, że zostanie w Drumneedoch i go skompromituję.

- Ależ Rob! - Uśmiechnęła się słodko. - Przecież sam mówiłeś, że tylko praktykowanie na prowincji pozwala lekarzowi dobrze poznać pacjentów. Podobno właśnie to tak bardzo sobie cenisz.

- Zostałeś trafiony, braciszku! - Liz zachichotała. - Kto ma ochotę na pleśniowy ser?

- Nie przejmuj się gadaniną Roba, Sally - wtrącił Fergus. - Drumneedoch to wspaniałe miejsce. Mam nadzieję, że mimo złych doświadczeń spodoba ci się tutaj! Poza tym na pewno będziesz mogła samodzielnie wykonywać więcej drobnych zabiegów chirurgicznych niż w mieście.

- Chyba tak - przyznała. Spod rzęs popatrzyła na Roba i zemściła się na kawałku sera, gwałtownie wbijając w niego widelec. - Byłoby mi ciężko opuścić Drumneedoch. Tyle tu interesujących ludzi.

- Oraz mnóstwo pięknych miejsc, wspaniała przyroda i zabytki - dodał Fergus. - Z radością wszystko ci pokażę!

Wszyscy parsknęli śmiechem, rozbawieni podnieceniem Fergususa, tylko Rob zachował powagę. Sally zauważyła, że przygląda się z bladym uśmiechem na ustach.

- Nie mogę się doczekać, Fergus - oświadczyła, w duchu zawstydzona tym, że okazuje entuzjazm, którego wcale nie czuje. - Chciałabym zacząć malować tutejsze pejzaże. Są nadzwyczajne.

- Malujesz, Sally? - Stuart spojrzał na nią z zainteresowaniem. - Olej czy akwarele?

- Właściwie dopiero się uczę - wyznała. - Podczas choroby matki zaczęłam malować akwarele. To relaksujące zajęcie, ale powinnam brać lekcje, aby poprawić technikę.



- Wobec tego utworzymy grupę. - Stuart uśmiechnął się szeroko. - Ktoś wciąż mi powtarza, że muszę ćwiczyć i rzucić palenie, prawda, Rob? Perspektywa malowania bardziej mi się podoba. Olga uczy plastyki, a wkrótce odejdzie na emeryturę, więc mogłaby szkolić przyszłych artystów!

- Miałaś rację, Sally - ze śmiechem przyznała Olga. - Chyba będę mieć mniej czasu niż do tej pory, jeśli zacznę chodzić na spacer z psem i prowadzić warsztaty malarskie!

Było późno i Sally poczuła zmęczenie. Chciała wrócić do siebie i iść spać, nie myśląc o Robie. Jeśli on już jej nie chce, to będzie musiała pogodzić się z tym faktem. Ale najpierw wyjaśni sytuację. Zerknęła na Roba, a on wstał od stołu.

- Muszę już iść, Liz - oświadczył bez żadnych wstępów.

- Miałem trudny tydzień. - Odwrócił się do Sally. - Nie chcę cię stąd wyciągać... Może Fergus odwiezie cię do domu?

O nie, pomyślała stanowczo. Nie uda ci się tak mnie spławić. Dowiem się, co w ciebie wstąpiło!

Fergus zerwał się z miejsca, więc przytrzymała go za rękę.

- Zostań - powiedziała z uśmiechem. - Ja też już zmykam. Dziękuję za miły wieczór, Liz. - Pożegnała wszystkich skinieniem głowy i poszła za Robem do samochodu.

Przez całą drogę milczeli. Sally nie zamierzała gawędzić o byle czym z człowiekiem, który przez cały wieczór ją ignorował. Myślała o zachowaniu Roba i czuła rosnącą irytację. Owszem, stracił żonę i była to tragedia, lecz z tego powodu nie miał prawa bawić się uczuciami innej kobiety. Sally westchnęła, wewnątrz rozdarła. Wiedziała, że kocha Roba, ale jego postępowanie łamało jej serce.

- Jesteśmy na miejscu. - Opuścił swój fotel, otworzył drzwi i pomógł jej wysiąść. Na moment zacisnął palce na jej dłoni i zaraz ją puścił. - Do zobaczenia w poniedziałek - mruknął, chyba trochę zakłopotany.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie tak szybko, Rob - wycedziła. - Jesteś mi winien małe wyjaśnienie, ale nie będę rozmawiać na ulicy. Wejdziemy do domu i powiesz mi, dlaczego tak mnie dzisiaj traktowałeś po tym, jak... jak wczoraj oznajmiłeś, że mnie pragniesz. Chcę wiedzieć, skąd ta nagła zmiana.

Przez chwilę milczał, patrząc w ziemię, a w słabym świetle ulicznej latarni było widać drgający na policzku mięsień.

- Do licha, przyznaję, że zachowywałem się okropnie.

- Jego niebieskie oczy w mroku wydawały się prawie czarne.

- Trudno mi to wyjaśnić, Sally.

- Może jednak spróbujesz - odparta sucho.

Otworzyła drzwi, weszła i zapaliła lampę. Usiadła na ławie pod oknem i utkwiała w Robie wyczekujące spojrzenie. Przysiadł na kanapie, blady i zasepiony. Wyglądał tak żałośnie, że przez moment mu współczuła. Potem oparł łokcie na kolanach, pochylił się do przodu i patrzył przed siebie, jakby usiłował zebrać myśli.

- Wczoraj postąpiłem impulsywnie, dałem się ponieść chwili - zaczął z wahaniem. - Sam nie wiedziałem, że cię zwodzę. Niestety, nie jestem mężczyzną, jakiego potrzebujesz. Nigdy nie mógłbym ci dać tego, na co zasłużyłaś - dodał szorstko. - Powinnaś związać się z kimś, kto ofiaruje ci całe serce. Ja popełniłem zbyt wiele błędów. Nie nadaję się na męża. Przekonałem się o tym w najgorszy sposób.

Patrzyła na niego tępo, ledwie słysząc jego głos.

- Ależ Rob, nic z tego nie rozumiem. Sądziłam, że... że łączy nas nie tylko przyjaźń, ale także coś cieplejszego. Myliłam się, prawda? Ty mnie tylko wykorzystywałeś...

- Nie - zaprzeczył. Wstał i podszedł do niej. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Nie chcę cię zranić. Nie pojmujesz? Moja przeszłość to za duży bagaż. - Ujął ją pod brodę i Sally ujrzała w jego spojrzeniu udramę. - Wybacz mi. Wprowadziłem cię w błąd, Sally. Gryzłem się tym przez cały dzień. Ale teraz zdaję sobie sprawę", że możemy być tylko przyjaciółmi.

W jej oczach nagle błysnął gniew.

- Jak doszedłeś do tego wniosku? - Nie mogła pozwolić mu tak po prostu z niej zrezygnować. Wykluczone! - Przeraziła się tego, że dziewczyna może pragnąć trwałego związku? Dlaczego tak bardzo boisz się zobowiązań?

Poczuła pod powiekami łzy i sfrustrowana zerwała się na równe nogi.

- Obawiasz się, że utracisz część swojej cennej niezależności, jeśli się zaangażujesz? Łudziliś mnie wczoraj wieczorem! Powiedziałaś, że mnie pragniesz! - Głos jej się załamał, gdy przypomniała sobie tamtą scenę. I natychmiast się cofnęła, ponieważ Rob postąpił krok w jej stronę. - Nie zbliżaj się do mnie! - syknęła. - Jesteś emocjonalnym kaleką, Rob, zbyt przerażonym i samolubnym, żeby kochać! Myślałam, że cię znam. Wydawałeś się dobry, serdeczny, wrażliwy. Czy nie tak wszyscy o tobie mówią? - W jej głosie zabrzmiał sarkazm. - Ale to tylko maska, pod którą ukrywasz prawdę o sobie. Nie nadajesz się do żadnego związku!

Wzdrygnął się, jakby go uderzyła, a ona z rozpaczą zrozumiała, że właśnie na dobre go odepchnęła.

- Może masz więcej racji, niż przypuszczasz - przyznał ponuro. - Nie musisz mi mówić, że pod względem emocjonalnym jestem kaleką. Od trzech lat dobrze o tym wiem. - Zaśmiał się złowieszczo. - Jak każdy, kto zabił swoją żonę!

W pokoju przez chwilę panowało milczenie.

- Teraz chyba spojrzysz na mnie innym okiem - dodał z goryczą. - I zrozumiesz, dlaczego nie mogę obciążyć cię bagażem mojej przeszłości. - Odwrócił się i wypadł na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Był to trudny tydzień - Sally sądziła, że dla Roba także. Oboje czasem spotykali się w przychodni, ale wyrosła między nimi niewidzialna bariera. Rozmawiali wyłącznie na tematy zawodowe, uprzejmie i bez emocji. Sally panowała nad sobą, lecz w głębi duszy zmagła się ze sprzecznymi uczuciami. Na myśl o tym, że Rob wprowadził ją w błąd, gryzła palce ze złości. Kiedy indziej ogarniał ją przeraźliwy smutek, ponieważ wiedziała, że Rob nigdy jej nie pokocha.

Dni wlokły się niemiłosiernie, choć pracy nie brakowało. Panowała epidemia wietrznej ospy i mnóstwo rodziców prosiło o wizyty domowe. Poza tym było chyba więcej niż zwykle drobnych zabiegów chirurgicznych: usuwania drzazg i zakładania szwów. Sally dosłownie podpierała się nosem, wykończona zarówno nadmiarem obowiązków, jak i dręczącymi ją wątpliwościami. Wciąż zastanawiała się, dlaczego Rob obwinia się o śmierć żony. Musi to wyjaśnić...

Jego wyznanie wcale nie wpłynęło na jej uczucia. Nadal go kochała - może nawet bardziej, ponieważ teraz wiedziała, że Rob bardzo cierpi. W czwartek Sally doszła do wniosku, że chyba się rozsypie, jeśli nie dowie się, jak zginęła Zoe i czemu Rob ma z tego powodu poczucie winy.

- Zaraz po dyżurze pójdę do Liz - mruknęła do siebie wyświetlając na monitorze komputera kartę pacjenta. - Ona na pewno coś mi powie.

Tego dnia musiała jeszcze przyjąć Jima Logana. Przychodził prawie co tydzień i zajmował jej tyle czasu co kilkusobowa rodzina, choć dolegliwości zazwyczaj były wyimaginowane.

Zerknęła na zegarek i jęknęła w duchu. Pamiętała, jak Rob mówił, że Jim Logan potrafi lekarza zameczyć.

- Chciałem zapisać się do doktora Roba - od progu oznajmił Logan - ale tutejsza służba zdrowia to jeden wielki skandal. Powiedziano mi, że musiałbym czekać aż do jutra. Zawsze to słyszę, kiedy mam pilną sprawę. Spławia się mnie, wysyłając do kogoś innego.

- Przykro mi, że pańskim zdaniem nie trafił pan w dobre ręce - odparła, nie kryjąc sarkazmu. - Ale w nagłym przypadku może nawet ja się przydam! - Uśmiechnęła się słodko, a Logan wzruszył ramionami.

- Już przywykłem do złego traktowania - oświadczył tonem męczennika. - Problem w tym, że doktor Rob ma za dużo pacjentów, bo wszyscy go lubią.

Oczywiście, niektórzy nawet go kochają, pomyślała i z westchnieniem skupiła uwagę na Jimie Loganie.

- Co panu dolega?

Jim Logan wygodnie rozsiadł się na krześle.

- Mam to od kilku dni i stan się pogarsza. A przecież nie można lekceważyć żadnych objawów, prawda? "Weźmy na przykład nadwrażliwość jelit. Gdybyśmy tego nie zbadali, to kto wie, co by się stało.

- Oczywiście - z powagą przyznała Sally. - Ale szczegółowe badania nic wykazały żadnej dolegliwości. Chyba nie przyszedł pan z tego powodu?

- Nie, choć nie byłem tu od wieków. Człowiek może wyciągnąć kopyta, zanim doczeka się wizyty. Ale dzisiaj sprowadza mnie równie poważny problem. Co ja poradzę na to, że bezustannie na coś choruję. Tym razem chyba chodzi o jakiś poważny niedobór.

Albo raczej umysłowy niedorozwój, przemknęło Sally przez głowę.

- O! - Jim Logan dramatycznym gestem wysunął do przodu rękę. Sally uważnie przyjrzała się dłoni i leciutko ją obmacała. Wykryła ledwie widoczną, szorstką w dotyku, zaróżowioną plamkę.

- Cóż, to tylko małe zaczerwienienie...

- Małe zaczerwienienie? - Logan nie krył oburzenia. - To jest bardzo czerwone i daje mi się we znaki.

Nie bardziej niż ty mnie, pomyślała.

- Panie Logan, to przypadek łagodnego zapalenia skóry. Radzę smarować po myciu bezzapachowym kremem do rąk i nie używać żrących detergentów.

- I to wszystko? - Łypnął na nią podejrzliwie. - A jeśli to egzema? Może powinienem iść do dermatologa?

- Nie - odparła stanowczo. - To niedługo samo zniknie. Do widzenia, panie Logan. - Wstała zza biurka. - Proszę przyjść, jeśli stan się pogorszy. - Przecież nie muszę tego mówić, dodała w myślach. Pan Logan i tak wkrótce znów się zjawi.

- Jest pani pewna? - Logan nie dawał za wygraną. - Nie chciałbym tego zlekceważyć. Nie byłoby lepiej zasięgnąć opinii doktora Roba? Zgodzi się pani ze mną, że powinniśmy znać prawdę.

Właśnie, pomyślała, odprowadzając wzrokiem upartego pacjenta. Koniecznie muszę poznać prawdę!

Doszła do wniosku, że wpół do piątej zastanie Liz w domu. Zastanawiała się, jak zapytać ją o Roba. Nie będzie to łatwe, ale musi wyjaśnić zżerającą ją wątpliwość. A Liz na pewno dobrze wie, co wydarzyło się trzy lata temu.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę odległego o dziesięć minut marszu domu Fordyce'ów. Szła wąską, nadbrzeżną promenadą, zadowolona, że po drodze wstąpiła do domu i włożyła ciepłe spodnie oraz kożuszek. Było coraz zimniej, lecz wiatr przyjemnie owiewał policzki, a skalisty brzeg i spienione fale tworzyły wspaniały widok.

Jaka to piękna miejscowość, pomyślała, spoglądając na domki z bielonego kamienia i wznoszące się w tle faliste, zielone wzgórza. Czuła, że nie będzie łatwo porzucić to miejsce. Nie sądziła jednak, aby po tym, co zaszło, Rob zaproponował jej stały etat. A gdyby nawet to zrobił, ona chyba nie mogłaby nadal z nim pracować. Kochała go, lecz on nigdy nie odwzajemni jej uczuć. Nie zniosłaby takiej sytuacji.

Liz miło się zdziwiła na jej widok.

- Właśnie zagotowałam wodę. Wejdz, zaraz zaparzę herbatę.

Sally usiadła przy dużym sosnowym stole zasłanym rysunkami uczniów. Liz energicznie je zebrała i przysunęła gościowi talerz z domowymi ciasteczkami.

- Po ciężkiej pracy nie ma to jak zdrowa dawka kalorii!

- To prawda - z uśmiechem przyznała Sally. - Chyba zasłużyłam na coś słodkiego! Przyszłam z dwóch powodów, Liz. Po pierwsze, żeby podziękować ci za sobotni wieczór. Wszystko było wspaniałe, jedzenie i towarzystwo.

- Jak ci się spodobał nasz Fergus? Świetny chłopak, prawda?

- Rzeczywiście bardzo miły - odparła zdawkowo. Głowiła się, jak poruszyć temat Roba i Zoe. Wolałaby nie ujawniać swoich uczuć, ale jakoś musiała uzupełnić brakujące kawałki tej układanki, którą było życie Roba. W końcu uznała, że nie ma co owijać w bawełnę.

- Liz, czuję się trochę niezręcznie, bo chciałabym spytać cię o coś z przeszłości Roba, co nadal chyba go dręczy. Nie myśl, że jestem wścibska, ale po wyjściu od was powiedział mi coś wstrząsającego... Wciąż o tym myślę, ale nie mogę go wypytywać.

Liz spojrzała na nią z zainteresowaniem, napełniając kubki herbatą.

- Pytaj, kochanie. Rob chyba nie ma żadnych mrocznych sekretów, które powinnam przed tobą ukrywać. Ale trudno go całkiem rozgryźć, prawda? -

Liz ciężko westchnęła. -Biedny Rob, sporo przeszedł i czasem bywa dziwny, ale ma serce we właściwym miejscu. Żle wam się współpracuje?

- Och, nie - zaprzeczyła. - Skądże. Rob bardzo mi pomaga... i tyle wie. Pacjenci go uwielbiają.

- Rob to lekarz pełen poświęcenia. Ma to po naszym ojcu. - Oczy Liz zaszkliły się łzami. - Uważa pacjentów za członków swojej rodziny i ich dobro jest dla niego ważne. Czym wytrącił cię z równowagi?

Sally nerwowo poruszyła splecionymi na kolanach dłońmi. Jak zacząć, aby nie urazić ani Liz, ani jej brata? Przygryzła wargi, a Liz zerknęła na nią ze zrozumieniem.

- Jesteś zakłopotana, prawda? Niepotrzebnie. Postaram się ci pomóc.

Sally wzięta głęboki oddech.

- Cóż, Rob niewątpliwie nigdy nie pogodził się ze śmiercią żony. Ale... chyba uważa, że utracił ją z własnej winy. Domyślasz się, dlaczego tak sądzi?

- Wiem, że z jakiegoś powodu czuje się odpowiedzialny za to, co się stało, ale nie mam pojęcia dlaczego. - Liz wstała i zaczęła chodzić po kuchni, jakby dzięki temu mogła łatwiej zebrać myśli. - Widzisz, Zoe i Rob byli modelową parą. Mieli wszystko: piękny dom, dwójkę wspaniałych dzieci. Nasi rodzice przyjaźnili się od wielu lat. Roderick Burford i mój ojciec wspólnie prowadzili praktykę w Drumneedoch. Zoe, jedynaczka, była rozpieszczonym dzieckiem. Rodzice spełniali wszystkie jej zachcianki!

Liz roześmiała się, jakby chciała złagodzić krytyczny wydźwięk swych słów.

- Kiedy Rob wrócił, żeby zająć się domowymi problemami, chyba brakowało mu towarzystwa młodych ludzi. W Manchesterze prowadził miłe życie towarzyskie. Podobno pracowaliście wtedy razem?

Sally skinęła głową i wypila łyk herbaty, by ukryć rumieniec, który nagle wypłynął na jej policzki. Nie wiadomo, dlaczego ona i Rob nigdy nikomu nie powiedzieli o tamtym krótkim romansie.

- A więc Rob i Zoe zaczęli się ze sobą spotykać?

- To było niemal oczywiste. Pobrali się zaledwie kilka miesięcy później. Może częściowo dlatego, że Rob wiedział, jak bardzo ucieszyłoby to naszych rodziców. Zmarli wkrótce po jego powrocie tutaj, lecz byliby zachwyceni tym, że ożenił się z miejscową dziewczyną. Ale pewnie nie masz ochoty tego słuchać. To nudna historia i prawdopodobnie nie rzuca żadnego światła na późniejsze wydarzenia.

- Och, nie, przeciwnie - pospiesznie zapewniła Sally. - Może dzięki temu łatwiej zrozumieć to, co się stało. Przypuszczam - dodała dyplomatycznie - że ucieszył cię ten ślub?

- Nie miałam wiele wspólnego z Zoe - po sekundzie wahania odparła Liz. - Była dużo młodsza ode mnie, interesowały ją inne rzeczy. Lecz liczyło się tylko to, że uszczęśliwiła Roba. Cieszyłam się, że tak szybko kogoś znalazł.

- Co robiła? Gdzieś pracowała?

- Przed ślubem pozowała do zdjęć. Była modelką, bardzo piękną dziewczyną. Miała też zdolności artystyczne i później zajęła się projektowaniem wnętrz. Zawsze narzekała, że na szkockiej prowincji nikt nie chce wydać ani grosza na upiększenie domu! Trochę się zdziwiłszy, gdy tak szybko zdecydowali się na dzieci. Przyszły na świat dziewięć miesięcy po ślubie. „To rezultat miodowego miesiąca”, mawiała Zoe, ale nie była zachwycona macierzyństwem. Chciała zająć się swoją karierą. Rodzina była na szarym końcu jej listy.

Piękna i utalentowana. Nic dziwnego, że Rob ją uwielbiał, ze ściśniętym sercem pomyślała Sally.

- A ten wypadek? - spytała. - Jak do niego doszło? Liz z westchnieniem wzruszyła ramionami.

- Właściwie nikt dokładnie nie wie. Zoe właśnie odebrała nowego porsche'a. Uwielbiała luksus: ładne samochody, ubrania, meble. Osobiście nie pojmuję, do czego komuś sportowe auto na tych krętych drogach. - Liz znów się zaśmiała, jakby zdała sobie sprawę ze swego kaśliwego tonu. - Wtedy była sobota. Wiem, że oboje planowali wypad do Londynu, ale Rob w ostatniej chwili musiał z tego zrezygnować, bo ktoś nagle zachorował. Ja miałam pomóc Ellie zająć się dziećmi. - Liz umilkła, wyraźnie zasmucona.

- Och, Liz, może to zbyt bolesne... Nie chcę, żebyś wracała do przykrych wspomnień...

- Ależ nie, mogę ci o tym opowiedzieć. To nawet pomaga nabrać do wszystkiego zdrowego dystansu. Robowi też byłoby łatwiej, gdyby w końcu się przełamał i powiedział komuś o swoich uczuciach lub tamtych wydarzeniach.

Liz podeszła do okna i wskazała krętą drogę wijącą się jak wstęga wokół jeziora.

- Wypadek zdarzył się na tamtym zakręcie. Był jasny, słoneczny ranek. Zoe testowała nową zabawkę i prawdopodobnie jechała za szybko. Może na dodatek oślepiło ją słońce. Wpadła na wielki dąb przy końcu jeziora.



Sally przypomniała sobie swój przyjazd do Drumneedoch. Wtedy też słońce świeciło oślepiająco, a ona, wyjeżdżając zza zakrętu, omal nie przejechała bliźniaków. Zadrżała i położyła dłoń na ramieniu Liz.

- To musiało być straszne dla was wszystkich - szepnęła.

- Ale Zoe jechała sama, prawda? Dlaczego Rob obwinia siebie za to, co się stało?

- Nie mam pojęcia. Milion razy mówiłam mu, żeby przestał zadręczać się poczuciem winy i zaczaj normalnie żyć. Ale zaczynam myśleć, że to niemożliwe. Oczywiście jest pewien problem. - Liz westchnęła. - Rob ma dwoje dzieci. Niewiele kobiet chciałoby wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

- To wspaniałe maluchy. - Głos Sally zabrzmiał ciepło.

- Nie sądzę, żeby ich istnienie mogło kogoś zniechęcić. -

Zerknęła na zegarek i zerwała się z krzesła. - Strasznie się zasiedziałam, Liz, a ty pewnie musisz ugotować obiad i obejrzyć te rysunki. Dzięki za garść informacji. Miejmy nadzieję, że Rob w końcu pogodzi się z tym, co się wydarzyło.

- Cudownie, że na tyle go lubisz, żeby o niego pytać. - Liz serdecznie cmoknęła ją w policzek. - Większość osób, które przychodzą do przychodni na zastępstwo, nie ma ochoty z nikim się zaprzyjaźnić.

Sally z ciężkim sercem wracała do domu. Nic dziwnego, że Robowi tak bardzo brakowało żony - była nadzwyczajną kobietą. Któż mógłby ją zastąpić? Lecz jednego Sally nadal nie rozumiała: dlaczego Rob uważał się za winnego śmierci Zoe?

Po powrocie do domu zastała nagraną wiadomość od Fergususa. Mówił, że w piątek wyjeżdża na konferencję, ale wróci w sobotę i po wspólnym lunchu pojedą na koncert do Inverness. Sally westchnęła. Fergus to porządny chłopak, ale wolałaby teraz usłyszeć Roba, który mówi, że chce z nią porozmawiać i zadzwoni wieczorem.

Dlaczego Fergus zabrał ją do tej samej restauracji, w której kiedyś była z Robem i jego synkami? Wtedy Sally z nadzieją patrzyła w przyszłość, liczyła na nowy związek. Obecnie już wiedziała, że jej marzenia legły w gruzach. Utraciła Roba na zawsze.

Z wymuszonym uśmiechem przywitała Luigiego i udawała rozbawioną żartami Fergususa, gdy szli do stolika. W sali było tłoczno, toteż nie zauważyła trzyosobowej grupki siedzącej przy oknie. Nagle usłyszała dziecięce głosiki

wołające „Sally!” i ujrzała biegnących w jej stronę bliźniaków. Za nimi podążał nieco zakłopotany i zirytowany Rob.

- Pójdiesz z nami do kina? - chórem zapytali chłopcy, uśmiechając się do niej radośnie. - Tata zabiera nas na film Disneya, bo byliśmy grzeczni!

Położyli pulchne łapki na jej ramieniu i patrzyli na nią z takim autentycznym przejęciem, że serce jej stopniało. Spojrzała na Roba i zdumiała się na widok jego miny. Sprawiał wrażenie najbardziej samotnego człowieka na świecie. W tej chwili całym sercem żałowała, że nie przyszła tutaj z Robem i bliźniakami.

Rob uśmiechnął się do niej, ale nie zdołała niczego wyczytać z jego oczu.

- Dzisiaj nie mogę z wami pójść, chłopcy - powiedziała łagodnie. - Ale w przyszłym tygodniu chętnie zabiorę was na basen, jeśli wasz tata pozwoli. Co wy na to?

- Tak! Tak! - zapiszczeni tak głośno, że kilka osób się wzdrygnęło.

Rob natychmiast wkroczył do akcji.

- Może Sally będzie zbyt zajęta, żeby z wami iść. Nie możemy psuć jej interesującego życia towarzyskiego - oświadczył.

Oczywisty sarkazm w jego głosie sprawił jej przykrość. Rob trzyma ją na dystans i najwyraźniej nie chce, aby zbliżyła się do jego dzieci.

- Nie przeszkadzajcie Sally i Fergusowi - dodał sucho. - Jedzą lunch. Później idziecie na koncert? - spytał z wystudiowaną uprzejmością.

- Tak, jedziemy do filharmonii w Inverness - odparł Fergus. - Sally mówiła, że lubi muzykę, więc chemie zorganizuję trochę rozrywek na najbliższe tygodnie. Jest tyle możliwości...

Rob skinął głową.

- Bawcie się dobrze. - Przez chwilę patrzył na Sally, po czym wziął chłopców za rączki i odszedł.

Fergus odprowadził go wzrokiem.

- Dziwne, że Rob z nikim się nie związał. Chyba nie interesuje się płcią przeciwną, choć moim zdaniem może podobać się kobietom. - Fergus pochylił się w stronę Sally i ujął jej dłonie. - Ślicznie wyglądasz - oznajmił, wędrując spojrzeniem po jej zgrabnej figurze w ciemnobrązowym kostiumie. - Mam randkę z najpiękniejszą dziewczyną w Drumneedoch!

Odpowiedziała mu bladym uśmiechem. Doskonale wiedziała, że niebieskie oczy śledzą każdą jej reakcję.

Czy każdy poniedziałek musi być właśnie taki? Znowu usiłowała nie myśleć o Robie, ale wciąż przypominała sobie, jak wyglądał w sobotę, gdy

przypadkiem spotkali się w restauracji. I czuła rosnące zdenerwowanie na myśl o tym, że dziś znów go zobaczy. Ze smutkiem doszła do wniosku, że długo tu nie wytrzyma. Praca w coraz bardziej napiętej atmosferze stawała się trudna.

Na szczęście zjawiała się Wynn i bez żenady zaczęła wypytywać Sally o przebieg randki z Fergusiem. Wynn zawsze wychwalała go pod niebiosa, lecz była zaręczona z sympatycznym chłopakiem, toteż jej zainteresowanie Fergusiem miało wyłącznie przyjacielski charakter.

- Na pewno zachowywał się jak stuprocentowy dżentelmen - stwierdziła, układając w szufladzie kartonowe teczki.

- Ma wspaniałe maniery i jest taki zabawny, ale... nie posuwa się za daleko, prawda? - Spojrzała tak badawczo, że Sally parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, że nie, Wynn. Musiałam tylko dwa razy dać mu po łapach! - zażartowała, a Wynn zachichotała wesoło.

- Będiesz się z nim spotykać?

- Chyba codziennie - z powagą odparła Sally.

Wynn szeroko otworzyła oczy i zaraz skrzywiła się, gdy pojęła, że Sally miała na myśli pracę.

Sally celowo nie dodała, że Fergus chciał, aby zgodziła się iść z nim w piątek na zabawę. Gdyby Wynn się o tym dowiedziała, do wieczora zaplanowałyby ich ślub i wesele! Sally zresztą nie była pewna, czy przystanie na zaproszenie Fergusia. Poczowała przyływ nieuzasadnionej irytacji na myśl o tym, że zaprosił ją na imprezę, w której wezmą udział wszyscy mieszkańcy, z Robem włącznie.

Nękał ją coraz silniejszy ból głowy, więc sięgnęła po aspirynę i zerknęła na przedpołudniową listę pacjentów. Marzyła o miłym dniu i pójściu spać o dziewiątej wieczorem.

Ranek minął dosyć szybko. Zjawili się tylko dwoje pacjentów - pani Skerris skarżyła się na bolące kolana, a pan Murray skaleczył się w palec i musiał dostać receptę na antybiotyk. O jedenastej Wynn przyniosła kubek kawy i oznajmiła, że w poczekalni nikogo nie ma.

- Dzięki Bogu! - rzekła Sally i sięgnęła po gazetę. Ten poniedziałkowy dyżur okazał się zaskakująco spokojny.

Czytając, w pewnej chwili uświadomiła sobie, że na korytarzu coś się dzieje. Dobiegł ją zduszony okrzyk i stuknięcie przewracanego krzesła. Przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem znów nie zobaczy

rozjuszzonego Benjaminą Pipera, ale do gabinetu wpadła najwyraźniej zaniepokojona Wynn.

- Rob cię prosi - wy sapiała. - Właśnie zemdlął George Buchan. Chyba jest pijany.

Sally natychmiast wybiegła do poczekalni i ujrzała pochylonego nad George'em Roba. Usłyszał jej szybkie kroki i podniósł głowę.

- Mamy kłopot - mruknął. - Ten dureń pił chyba od samego rana. Dowiedział się, że ma cukrzycę, i postanowił się schlać. Dostał zastrzyk z insuliny, lecz oczywiście nic dzisiaj nie jadł!

- I teraz ma hipoglikemię! - Sally pociągnęła nosem i się skrzywiła. - Musiał sporo wypić. Cuchnie od niego jak z browaru!

George niespokojnie poruszał rękami i nogami. Rob dotknął jego twarzy. Była spocona.

- Podam mu dożylnie pięćdziesiąt gramów glukozy - oświadczył Rob. - To wyrówna niedobór.

Po chwili George otworzył oczy i tępo rozejrzał się wokół.

- Za parę minut dojdzie do siebie - stwierdził Rob. - Położę go w pokoju zabiegowym i poczekam na Janet. W szpitalu zastosują odpowiednią terapię. Janet może tam go zawieźć. Bóg raczy wiedzieć, jak ten facet sobie zaszkodził.

Rob pomógł mężczyźnie wstać i prawie zaniósł go do gabinetu. Z pomocą Sally położył George'a na kozetce i przykrył kocem. Gdy wrócili do poczekalni, czekała tam na nich zdenerwowana Janet.

- Nie martw się, Janet. - Rob otoczył ją ramieniem. - Nic mu nie jest, ale trzeba porządnie go ochrzanić! Musi zrozumieć, jaki niebezpieczny dla cukrzyka może być nadmiar alkoholu.

Rob poprowadził Janet do swego gabinetu i gestem polecił Sally iść z nimi.

- Pewnie ktoś cię zawiadomił, że pijanego George'a znaleziono na ulicy. Problem w tym, że z powodu picia podniósł się poziom insuliny, która z kolei wchłonęła zbyt wiele glukozy, co spowodowało stan zwany hipoglikemią.

- George chwilowo nie pracuje i niestety pije. - Janet chlipnęła żałośnie. - Martwi się, że nie damy sobie rady, jeśli nie będzie mógł wrócić na morze. Zawsze topił smutki w alkoholu.

- To żadna metoda, Janet. - Rob poklepał ją po ręce. - George odzyska formę, kiedy zacznie brać insulinę, prawda, doktor Jones?

Twierdząco skinęła głową.

- Zdziwiłabyś się, wiedząc, jak dużo ludzi stosuje dietę i robi sobie te zastrzyki. Naprawdę można przywyknąć do tej sytuacji. Rob chętnie porozmawia z twoim mężem o tych sprawach. Może George potrzebuje trochę czasu, żeby przyzwycząić się do zmian. Musi przecież przywyknąć również do tego, że macie dziecko!

- George to dzielny chłop, ale strasznie boi się zastrzyków. - Janet uśmiechnęła się blado. - Na widok igły urządza takie brewerie, jakby chodziło o amputację ręki.

Roześmiali się, a Wynn przyniosła dla Janet filiżankę herbaty. Zawsze potrafiła wyczuć, kiedy ktoś potrzebuje czegoś na uspokojenie.

- Po krótkim przeszkoleniu George oswoi się z robieniem sobie zastrzyków - zapewnił Rob. - Teraz zawieź go do szpitala, a ja wpadnę do was w przyszłym tygodniu i wszystko omówimy.

- Biedna Janet - mruknęła do Wynn Sally, gdy Rob wyprowadzał George'a do samochodu. - Ostatnio ma sporo kłopotów.

Wynn prychnęła pogardliwie.

- George zawsze lubił wypić. Janet jest dla niego o wiele za dobra. Już w średniej szkole świata poza nim nie widziała.

- George weźmie się w garść. Łatwo wpaść w szok, kiedy człowiek się dowie, że musi zmienić tryb życia i już nie jest taki silny jak kiedyś. Może George przerzuci się na wodę mineralną!

- Bardzo wątpię - oświadczyła Wynn, biorąc torebkę. - Wychodzę teraz na lunch, więc włączę automatyczną sekretarkę, żebyś mogła w spokoju coś zjeść. Twoje kanapki są w lodówce.

- Zawsze myślisz o wszystkim - z uśmiechem przyznała Sally.

Była w dużo lepszym nastroju niż rano. Podczas ratowania George'a Rob znów był taki jak dawniej - serdeczny i fachowy, a ją traktował bez cienia rezerwy. Gdyby nadal miało tak być, może mogliby kontynuować współpracę.

W małej kuchence zastała Fergusa pałaszującego lunch.

- Dobrze, że jesteś - zawołał uradowany, zerwał się na równe nogi i podał jej krzesło. - Chciałem z tobą porozmawiać. Pójdziemy razem na tę zabawę? Na pewno będzie wesoło. Nauczyłbym cię szkockich tańców... - Urwał na widok wchodzącego Roba.

Rob zerknął na nich, ale nic nie powiedział. Wziął ze stojącego na stole talerza kanapkę i zaczął przeglądać najnowszy numer „Acute Medicine”.

- W sobotę tak świetnie się bawiliśmy - powiedział Fergus - więc powinniśmy to powtórzyć. Wcześniej, chętnie udzielę ci paru lekcji, żebyś znała podstawowe kroki.

- Cóż... dzięki za propozycję, Fergus. Pozwól, że się zastanowię - wybąkała, skrępowana obecnością Roba.

Fergus wstał i przysiadł na rogu stołu, bliżej Sally.

- Cieszę się, że spotkałem kogoś, kto tak lubi muzykę jak ty - wyznał. - Przeglądałem program. W filharmonii odbędzie się kilka wspaniałych koncertów, na które moglibyśmy iść.

- To miła perspektywa, ale...

Rob raptownie się podniósł i wyszedł z kuchni, trzaskając drzwiami. Fergus popatrzył za nim zdumiony.

- Co w niego wstąpiło? - spytał. - To chyba rezultat nadmiaru pracy i braku wypoczynku - zawyrokował i przeniósł wzrok na Sally. - To co, pójdziesz ze mną na te tańce? - spytał błagalnie.

Sally westchnęła.

- Wybacz, Fergus, ale nie jestem pewna.

Wróciła do swego gabinetu i zdziwiła się, widząc tam Roba. Z rękami w kieszeniach stał przy oknie. Gdy usłyszał jej kroki, odwrócił się w jej stronę.

- W sobotę mówiłaś bliźniakom, że weźmiesz ich na basen - powiedział z nieprzeniknioną miną. - Musiałem im obiecać, że cię spytam, czy propozycja jest aktualna. - W jego spojrzeniu odmalowało się zakłopotanie. - Może już nie masz ochoty z nimi iść, ale oni o tym marzą. Nie chcą, żebym ja ich zabrał. - Zaśmiał się niewesoło. - Chyba uważają mnie za kiepski substytut. Lecz jeśli wolisz zrezygnować, to...

- Nie pleć głupstw. Cokolwiek zaszło między nami, nie powinno mieć wpływu na mój stosunek do chłopców - oświadczyła dźwięcznym głosem. - Z przyjemnością ich zabiorę. - Zerknęła w kalendarz. - Może jutro po przedszkolu? Mam wolne popołudnie.

Rob sztywno skinął głową.

- Poczekam z nimi na ciebie przed szkołą około czwartej. Gdy wyszedł, przygryzła wargi. Rob trocheja zaskoczył.

Nie sądziła, że jutro go spotka.

Hala, w której mieścił się basen, była duża i tłoczna, a powietrze przesycił intensywny zapach chloru. Sally zmarszczyła nos i z lekkim przerażeniem popatrzyła na tłum skaczących do wody i pływających ludzi. Głośną wrzawę od czasu do czasu przecinał przeraźliwy dźwięk gwizdka. To ratownik

przywoływał do porządku młodych chłopców, którzy popisywali się przed przyjaciółmi.

Bena i Charliego rozsadzała energia. Obaj podskakiwali i ciągnęli Sally za sobą.

- Chodź, Sally - pisał Ben. - Zobaczysz, jak pływamy w małym basenie. Prześcigniemy cię!

Uśmiechnęła się do nich i pozwoliła się zawlec do mniejszego basenu. Znajdował się w rogu hali, gdzie było spokojniej. Odziani w niebieskie kąpielówki bliźniacy mieli na ramionach nadmuchiwane „skrzydełka” i bez obaw wskoczyli do wody. Sally usiadła na brzegu i obserwowała rozbrykaną dwójkę. Wspaniałe urwisy, pomyślała. Było w nich coś niezmiernie ujmującego. Zauważyła to już tego dnia, kiedy pierwszy raz ich ujrzała, nie wiedząc, że to synowie Roba.

Rob na szczęście pożegnał się natychmiast po przekazaniu jej dzieci; Była z tego zadowolona. Wolą, aby na nią nie patrzył. Po paru minutach zaczęła uczyć chłopców pływania „pieskiem”. Entuzjastycznie ją naśladowali, ona zaś czuła się jak mama kaczką z dwoma hałaśliwymi kaczkami usiłującymi jej dorównać!

- Cóż za miła niespodzianka! - zawołał ktoś radośnie. Sally przymrużyła oczy i ujrzała rozpromienioną twarz Fergusa.

- Nie miałem pojęcia, że lubisz pływanie. Bywam tu prawie co wieczór, żeby dla zachowania kondycji przepłynąć parę długości. Też powinnaś spróbować, moglibyśmy ćwiczyć razem! Widzę, że niańczysz dzieci Roba, więc pewnie nie przyjdiesz do dużego basenu?

- Nie - odparła stanowczo. Zaczynała sądzić, że Fergus staje się nużący.

On zaś także wszedł do wody i z nieskrywanym podziwem przesunął wzrokiem po smukłej, lecz odpowiednio zaokrąglonej figurze Sally. Jasnoniebieski kolor kostiumu wspaniale podkreślał jej lekką opaleniznę, zdobytą w Manchesterze podczas kilku słonecznych dni lata.

- Wyglądasz przepięknie - oświadczył Fergus i popatrzył na nią błagalnie.

- Może jednak wybierzesz się ze mną na te tańce? - Poglaskał ją po ręce. - Wiesz - dodał cicho - ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Moglibyśmy świetnie się bawić. - Posłał jej jeszcze jedno łakome spojrzenie i odwrócił się do chlapiących wodą chłopców. - Przekonajmy się, co potraficie, dzieciaki.

- Spróbuj nas. łapać! - zawołał Ben. Wszedł na brzeg i z rozpędu skoczył w ramiona Fergusa, a on ze śmiechem go podrzucił.

- Świetnie! A teraz Giarlie!

Po półgodzinnej wesołej zabawie Sally musiała złapać oddech. Oparła się o ścianę basenu i ciężko dyszała. Fergus natychmiast znalazł się obok i otoczył ją ramieniem.

- Byłabyś cudowną matką - zamruczał, przytulając ją do siebie.

Odsunęła się i wyszła z wody. Miała trochę dosyć Fergus, który stawał się zbyt nachalny. Patrzyła na niego zirytowana, gdy zanurkował do dużego basenu i zaczął energicznie płynąć kraulem, po czym zajęła się bliźniakami.

Siedzący na ławce dla publiczności Rob obserwował całą trójkę ponurym wzrokiem. Tak mocno zaciskał dłonie na poręczy, że aż zbieleły mu palce.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sally z westchnieniem ulgi zanurzyła się w wodzie z dużą ilością lawendowego olejku. Popołudnie z bliźniakami było bardzo przyjemne, ale teraz dawało o sobie znad znużenie. Wyciągnęła się w wannie i zamknęła oczy, rozkoszując się przyjemnym ciepłem przenikającym zmęczone mięśnie.

Przypomniała sobie minę Roba, gdy przyszedł po dzieci. Sprawiał wrażenie kompletnie wykończonego. Kazał chłopcom podziękować Sally i poza tym prawie się nie odzywał. Ben i Charlie paplali o następnej wyprawie na basen, lecz Rob uciął ich prośby stwierdzeniem, że Sally na pewno nie ma czasu na takie rzeczy. Otworzyła usta, aby zaprotestować, ale on raptownie się odwrócił i odszedł.

Znów westchnęła i oparła głowę na brzegu wanny. W pokoju cicho grało radio, a perfumowana woda zabiła zapach chloru, toteż Sally wreszcie się odprężyła, zapominając o irytującym zachowaniu Roba i Fergususa.

Otrzeźwił ją natarczywy dzwonek do drzwi. Usiadła i sięgnęła po ręcznik. Chyba nie chodzi o nagłe wezwanie, pomyślała. Dzisiaj dyżur pełnili lekarze z przychodni w sąsiedniej miejscowości.

Po chwili ktoś zaczął głośno pukać. Sally zakłęta pod nosem i wkładając szlafrok, pospieszyła do holu, aby otworzyć.

- Po co ten alarm? - zawołała. - Już idę. Kto tam?

- To ja - zabrzmiał znajomy głos. - Chcę z tobą porozmawiać.

Lepiej niech to będzie coś pilnego, Rob, przemknęło jej przez głowę. Gdy wszedł, zmierzył ją chłodnym spojrzeniem, po czym zatrzymał wzrok na jej twarzy zarumienionej po ciepłej kąpieli i wilgotnych, spiętych na czubku głowy włosach. Sally ciaśniej owinęła się szlafrokiem i gestem zaprosiła Roba do saloniku.

Zauważyła jego ponurą minę i zaciśnięte usta. Czyżby znów miał chandrę? Jeśli tak, to szkoda, że postanowił ją odreagować właśnie tu i teraz. Sally nie czuła się na siłach, aby w tej chwili z nim się zmierzyć.

Przysiadła na brzeжку fotela, a Rob zatrzymał się przy kominku i patrzył na nią ponuro.

- O co chodzi, Rob? - Usiłowała nie okazać irytacji, choć miała do niej prawo. Ten dzień był długi i męczący.

- Rzeczywiście zastosowałaś się do mojej rady. - Głos Roba zabrzmiał zgrzytliwie.

- Do twojej rady? - powtórzyła. - Nie rozumiem.

- Niedawno powiedziałem ci, że potrzebujesz kogoś, kto nie jest obciążony swoją przeszłością. Co prawda nie sugerowałem romansu z kierownikiem administracji, ale on chyba się nadaje, jeśli gustujesz w przystojnych nudziarzach.

- Mówisz o Fergusie? Wpadasz tu jak burza tylko dlatego, że parę razy z nim się umówiłam? - Sally poczuła wypieki na policzkach. - Przyjmij do wiadomości, że to nie jest twoja sprawa! - wypaliła ze złością.

- Może i nie, ale nie życzę sobie, żebyś wciągała w swoje sprawy moje dzieci! Tylko ja decyduję o tym, z kim mogą przebywać. Żaden Fergus nie będzie udawał ich tatusia!

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- I przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć? Jesteś śmieszny. Nie zaaranżowałam tego spotkania na basenie. Było najzupełniej przypadkowe, a Fergus po prostu okazał twoim synom trochę sympatii.

- Nigdy więcej nie waż się wykorzystywać moich dzieci do uatrakcyjnienia swojej randki!

- Jesteś bezczelny! - parsknęła, tym razem nie na żarty rozjuszona. W jednej chwili znalazła się przy drzwiach i otworzyła je na oścież. - Wyjdź, bo zachowujesz się jak pies ogrodnika. Sam oznajmiłeś, że mnie nie chcesz, więc nie wtykaj nosa w moje życie prywatne!

- Pamiętaj! - Spojrzenie Roba prześliznęło się po jej sylwetce. - Twoi faceci mają trzymać się z daleka od moich synów!

Wyszedł, a Sally z takim impetem zatrzaskała drzwi, że huk rozszedł się echem po całym domku.

- Nie będziesz mnie kontrolować! - krzyknęła. - Dalej kochasz swoją żonę i nie ma w twoim sercu miejsca dla nikogo innego, ale mnie nie zabronisz normalnie żyć!

Po drugiej stronie drzwi Rob poszarzał na twarzy i bezsilnie oparł się plecami o ścianę. Jak Sally może wierzyć w coś takiego? Przecież to jej pragnął, jej potrzebował i cierpiał jak potępieniec, gdy ujrzał ją z innym mężczyzną.

Sally zaś opadła na fotel i próbowała spokojnie przeanalizować zachowanie Roba. Dlaczego tak bardzo rozwścieczyła go obecność Fergus na basenie? Fergus bywa irytujący, ale to porządny chłopak i z pewnością w żaden sposób nie zagraża dzieciom ani ich uczuciom.

Przypomniała sobie smutną, ściągniętą cierpieniem twarz Roba, i trochę złagodniała. Rob to samotny ojciec. Może, widząc ich baraszkujących w basenie, znów boleśnie uświadomił sobie, jak wiele stracił wraz ze śmiercią Zoe.

Z zamyślenia wyrwało ją brzęczenie telefonu.

- Tu Fergus, Sally!

Wzdrygnęła się, słysząc jego silny, dźwięczny głos.

- Wybacz, że zakłócam ci wieczór, ale najpóźniej jutro muszę kupić bilety na zabawę. Pójdiesz ze mną?

Westchnęła boleśnie. Dlaczego by nie? Lepiej wybrać się na tańce niż w piątkowy wieczór siedzieć w domu. Będzie tylko musiała trzymać Fergus a trochę na dystans. Uśmiechnęła się kwaśno do siebie.

- Tak, Fergus. Bardzo chętnie.

Zespół „Błękitny Dzwonek” grał głośno, a w takt szybkiej, szkockiej melodii wirowało na parkiecie mnóstwo par. Sally zauważyła kilku swoich pacjentów. Niektórzy mężczyźni mieli na sobie spódniczki w kratę, lecz większość obecnych nosiła codzienne stroje.

Patrząc na roztańczonych ludzi, Sally doszła do wniosku, że dobrze zrobiła, przychodząc tutaj. Dzięki temu poczuła się częścią tej małej społeczności, a może nawet będzie dobrze się bawić!

Fergus był bardzo zaborczy. Nie odstępował jej na krok i cierpliwie uczył zasad obowiązujących w szkockim tańcu o nazwie reel. Sally musiała przyznać, że w wykonaniu tutejszych mieszkańców reel mógł się podobać.

- Wyglądasz idealnie - szepnął, patrząc z aprobatą na jej fioletową kloszową spódnicę i obcisłą bluzeczkę z czarnego jedwabiu.

- Mam nadzieję, że moje nogi też zdadzą egzamin - odparła wesoło.

Zespół właśnie grał na bis i Fergus pociągnął ją na parkiet. Nie wiadomo kiedy zaczęła wirować razem z innymi i klaskała do rytmu, wstrzymując oddech, gdy Fergus szybko ją obracał, i parszcząc śmiechem, gdy po kolejnej figurze wylądowała przed nieodpowiednią osobą. Po tańcu była taka rozbawiona, że z wdziękiem dygnęła, dziękując Fergusowi za towarzystwo.

Jej włosy już dawno wysunęły się spod przytrzymujących je dwóch metalowych wsuwek, i rozsypały wokół głowy. Podniosła rękę, by je poprawić, i zastygła na widok obserwującego ją mężczyzny. Fergus właśnie odszedł, aby zamówić kolejną melodię, i Sally stanęła oko w oko z Robem.

- Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa, Sally. Poświęcisz mi chwilę?

Nie miała ochoty na powtórkę wczorajszej sceny, więc się zawahała.

- Nie bój się. - Rob uśmiechnął się żałośnie, jakby czytał w jej myślach. - Nie zamierzam znów się awanturować.

Zerknęła na Fergusa, ale on nadal był zajęty żywą rozmową z członkami zespołu. Skinęła głową i poszła z Robem do pokoju sąsiadującego z salą taneczną. Rob miał skruszoną minę uczniaka złapanego na gorącym uczynku. Przeczesał palcami swe gęste, krótkie włosy i westchnął.

- Nawet nie wiem, jak cię przeproszać. Wczoraj zachowałem się okropnie. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło.

Milczała, a gdy położył dłonie na jej ramionach, spojrzała mu w oczy.

- Chyba zirytował mnie widok chłopców tak wspaniale bawiących się z tobą i innym mężczyzną. Głupota, prawda? - Zaśmiał się niewesoło. - Zdołasz mi wybaczyć?

Ujrzała w jego oczach smutek i uśmiechnęła się blado.

- Może oboje zachowaliśmy się zbyt impulsywnie. Zapomnijmy o tym, dobrze?

Na jego twarzy odmalowała się ulga. Sally też poczuła, że kamień spadł jej z serca. Jak mogli być tacy niemądrzy i wzajemnie się ranić! Wspaniale, że się pogodzili.

Rob nagle uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, pokażę ci, jak należy tańczyć. Przed chwilą widziałem, że popełniasz straszne błędy!

Było rozkosznie znów znaleźć się w jego ramionach, przytulić do jego silnego ciała. Podczas wykonywania kolejnych figur nie odrywał od niej wzroku, a gdy taniec się skończył, niemal uniósł ją w górę i przez chwilę trzymał przy sobie. Czy on wie, jak to na mnie działa, przemknęło jej przez głowę.

- Jesteś fantastyczną partnerką, Sally - mruknął, patrząc na nią pociemniałymi oczami. - Cieszę się, że znów zostaliśmy przyjaciółmi.

Oczy mu się śmiały, a jej serce zabiło szybciej, przepełnione nieoczekiwaną nadzieją. Czyżby Rob zmierzył się z demonami swej przeszłości i zdołał przezwyciężyć dręczące go poczucie winy związane ze śmiercią Zoe?

Może zdołał spojrzeć na przeszłość bardziej realistycznie i nabrał zdrowego dystansu do tamtego wydarzenia? Sally nagle poczuła przypływ radości. Miała wrażenie, że jest lekka jak piórko, że szczęścia niemal unosiła się w powietrzu. Ten wieczór okazał się cudowniejszy, niż oczekiwała. Po raz pierwszy od dawna pozwoliła sobie na ostrożny optymizm.

Resztę wieczoru musiała spędzić z Fergusem, który nalegał, by próbowała swoich sił w różnych układach tanecznych. Cierpliwie ratował ją z opresji, gdy myliła kroki, i bezustannie zapewniał, że jest najzdolniejszą uczennicą, jaką kiedykolwiek miał. Kilkakrotnie szukała wzrokiem Roba, który górował wzrostem nad większością mężczyzn. Widziała, jak tańczył, a on od czasu do czasu napotykał jej spojrzenie i mrugał porozumiewawczo.

Rzeczywiście przeszedł jakąś metamorfozę, stwierdziła radośnie i oczywiście zawirowała w stronę nie tego tancerza, co powinna. Nie przejęła się tym, ponieważ jej serce śpiewało. Rob właściwie przyznał, że jest zazdrosny o Fergusa, może więc nie wszystko stracone? Może pewnego dnia zapragnie spędzić z nią resztę życia?

Pod koniec zabawy Sally z przyjemnością popijała sok. Nagle zauważyła, że do Roba podszedł konferansjer i zaczyna coś szeptać mu do ucha. Ku jej przerażeniu Rob wyraźnie zbladł, jak gdyby przekazano mu straszną wiadomość.

Boże, pewnie chodzi o bliźniaki, pomyślała. Bez wahania przedarła się przez tłum i dotknęła ramienia Roba.

- Coś się stało, prawda? Coś z Benem albo z Charliem? Pomogę ci.

Spojrzał na nią dziwnie.

- Z chłopcami wszystko w porządku - rzekł powoli - ale Stuart miał zawał i jest na kardiologii w Inverness. Muszę natychmiast tam jechać, żeby podtrzymać na duchu Liz i przekonać się, jak wygląda sytuacja.

- Boże, to straszne. Biedny Stuart. I biedna Liz. Co mogę zrobić?

- Mogłabyś jutro mnie zastąpić? Zapisano się sporo pacjentów w starszym wieku na badanie ogólnego stanu zdrowia. Debbie zmierzy im ciśnienie, ale trzeba wszystkich osłuchać i tak dalej.

- Zajmę się tym - zapewniła. - I zawiadomię Ellie, żeby nie martwiła się o ciebie.

- Dzięki, Sally. - Rob lekko ścisnął jej ramię. - Przyznaję, że to dla mnie duży szok. Stuart zasłabł godzinę temu, ale podobno przez całe popołudnie miał bóle, które uważał za objaw niestrawności. - Rob zerknął na zegarek. - Odezwe się - dodał i pospiesznie opuścił salę.

Patrzyła za nim i myślała o Stuarcie - zwalistym, rumianym mężczyźnie, który lubi dobrze zjeść i wypić, pali ukochane cygara i święcie wierzy, że jest najzdrowszym człowiekiem świata.

Przedpołudniowy sobotni dyżur rzeczywiście okazał się pracowity. Starsi pacjenci Roba byli nieco rozczarowani jego nieobecnością, lecz Winn

zdołała ich ułagodzić. Wyjaśniła, że Roba wezwano do nagłego przypadku, a doktor Jones na pewno wszystkich przyjmie.

Większość osób wykazała zrozumienie, choć czas oczekiwania na wizytę znacznie się wydłużył. Mimo to o pierwszej w poczekalni nie było już nikogo. Sally przeciągnęła się, by rozprostować kości, i zadzwoniła do szpitala w Inverness.

- Jest źle, Sally. - W głosie Roba brzmiał wyraźny niepokój. - Podczas przewożenia na oddział nastąpiło zatrzymanie akcji serca i trzeba było zastosować elektrowstrząsy. Na szczęście przedtem podano heparynę, co przesunęło skrzep, ale stan jest bardzo ciężki.

- Rob, strasznie mi przykro. Uściskaj ode mnie Liz. Powiedz, że o niej myślę.

- Oczywiście. Liz na razie jakoś się trzyma, ale ona i Stuart są dla siebie wszystkim. - Rob umilkł na chwilę. - Dobrze, że jestem przy niej. Po śmierci Zoe Liz bardzo mnie wspierała. Teraz ona i jej synowie są dla mnie najważniejsi.

Słowa Roba brzmiały Sally w uszach długo po tym, jak odłożyła słuchawkę. Po chwili do gabinetu weszła Wynn, aby spytać o Stuarta.

- Szkoda, że od razu nie zadzwonił do Roba, kiedy miał te bóle. - Wynn westchnęła ciężko. - Dlaczego tak zwlekał?

- Prawdopodobnie nie przypuszczał, że to coś poważnego i nie chciał panikować. Niestety, dużo ludzi tak rozumuje. - Sally z wdzięcznością spojrzała na pielęgniarkę. - Dzięki, Wynn, za dzisiejszą pomoc. Nie dałabym sobie rady bez ciebie. Teraz chyba pójdę na spacer, żeby przewietrzyć głowę. Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś nowego o Stuarcie.

- Ubierz się ciepło - poradziła Wynn. - Bardzo się ochłodziło. Nawet prószyl śnieg, choć byłaś zbyt zajęta, żeby to zauważyć. Ja jeszcze trochę tu posiedzę. Zjem lunch i uzupełnię kartoteki.

Wynn miała rację, pomyślała Sally. Zapięła pod szyją pikowaną kurtkę i przyspieszyła kroku. Wiał silny, lodowaty wiatr, zacumowane w zatoce łodzie podskakiwały jak korkowe zabawki, a przez falochron co chwila przelewały się bryzgi wody. Na niebie wisiały szare, śniegowe chmury i Sally miała nadzieję, że Rob zdąży wrócić z Inverness, zanim pogoda jeszcze bardziej się pogorszy.

Z przeciwnej strony zbliżały się dwie trochę pochylone, idące pod wiatr osoby. Po chwili Sally zauważyła również małego szarpiącego się na smyczy pieska.

- Mick, Olga! - zawołała, rozpoznawszy znajome sylwetki. - Barnaby zadowolony z nowego domu? - spytała, gdy oboje się z nią zrównali. Schyliła się i pogłaskała wesołego szczeniaka, a on polizał jej nos.

- To najlepszy piesek pod słońcem - oznajmiła rozpromieniona Olga. - Mick i ja uczymy go chodzić na smyczy. Już zrobił duże postępy, prawda, Mick?

- Tak. - Energicznie kiwnął głową. - Zrobimy mu lekcje. Będę pomagał pani Marchant.

- Wtedy, kiedy nie będziesz pomagać swojej mamie - rzekła łagodnie Olga. - Bill Skinner podobno czuje się już znacznie lepiej. Może wróci ze szpitala w przyszłym tygodniu. Sheena chce przedtem przeprowadzić się do małego domku, więc przyda się jej pomoc Micka.

- Oczywiście - przyznała Sally. - Jesteś przyjaciółką Liz, więc chyba powinnaś wiedzieć, że Stuart miał wczoraj zawał - dodała cicho. - Jest w szpitalu, ale nie wygląda to dobrze.

Olga z wrażenia gwałtownie wciągnęła powietrze i potrząsnęła głową.

- Aż trudno w to uwierzyć. W młodości był takim wspaniałym sportowcem. Wpadnę do Liz i dowiem się, czy czegoś nie potrzebuje. Mogę zaprosić jej chłopców do siebie na kolację i zrobić jej zakupy.

Jakie to szczęście, że na świecie istnieją przyjaciele, pomyślała Sally, odprowadzając wzrokiem Olę i Micka. Już zdążyła zauważyć, że w tutejszej małej społeczności ludzie nawzajem się wspierają.

Sally zerknęła na zegarek - powinna już iść do przychodni i zająć się papierkową robotą. Zawróciła i szybko pomaszerowała do budynku. W gabinecie zastała siedzącą przy biurku, zapłakaną Wynn, która na jej widok podniosła głowę i powiedziała:

- Stuart zmarł pół godziny temu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Liz była spokojna, ale bardzo blada i miała podkrążone oczy. Siedziała w dużym, słonecznym salonie, w którym tak niedawno rozbrzmiewał wesoły śmiech gości,

Sally dowiedziała się o jej powrocie do domu i odwiedziła ją z bukietem kwiatów, aby wyrazić współczucie i dodać Liz otuchy.

- Właśnie wspominałam nasze życie. - Liz z bladym uśmiechem wskazała leżące na kolanach albumy z rodzinnymi fotografiami. - Stuart był cudownym mężem i ojcem. Będzie mi go strasznie brakować.

Sally ze zrozumieniem skinęła głową i uściskała Liz.

- Cieszę się, że go poznałam - powiedziała łagodnie. - Nie wątpiłam, że jesteście bardzo szczęśliwym małżeństwem. I macie dwóch wspaniałych synów.

Wiedziała, że obaj wkrótce wyjadą do szkoły z internatem, tej samej, do której kiedyś uczęszczał Stuart. Dom pełen mężczyzn nagle opustoszeje i Liz zostanie sama. Jakie to okrutne.

- Mimo to chcę, żeby chłopcy wyjechali do szkoły. - Liz jakby czytała w myślach gościa. - Stuart był dumny, że dostali stypendia. Tak bardzo... pragnął zobaczyć ich w miejscu, gdzie sam się kształcił. - Zaśmiała się krótko. - Może Rob ich zawiezie...

- Rob na pewno stanie na wysokości zadania -zapewniła ją Sally. - Bardzo lubił Stuarta.

- To prawda. I wiesz co? - w zamyśleniu dodała Liz. - Może ze śmierci Stuarta wyniknie coś dobrego, choć teraz trudno to dostrzec.

Widząc pytające spojrzenie Sally, Liz wstała i podała jej zdjęcie dwojga małych dzieci stojących przed rezydencją MacKayów. Fotografia była czarno-biała i mało ostra, lecz było oczywiste, że owa dwójka to Rob i Liz.

- Zawsze uwielbiałam ten dom. Rob i ja spędziliśmy w nim szczęśliwe dzieciństwo. Rob miał zwyczaj zjeżdżać po dachu z okna sypialni, kiedy tracił ochotę na odrabianie lekcji. Bawiliśmy się w domku na drzewie albo w chowanego. To były piękne czasy. Dlatego przyszło mi coś do głowy.

- Co? - Sally ucieszyła się, że Liz z optymizmem patrzy w przyszłość.

- Cóż, Ellie to doskonała opiekunka, ale niestety się starzeje. Wkrótce przestanie pracować i bliźniacy będą musieli przyzwycząić się do kogoś nowego. Po śmierci Zoe zawsze wydawało mi się, że mogłabym więcej pomagać Robowi. Stuart i ja namawialiśmy go, żeby zamieszkał z nami, ale



wolał zostać u siebie i wszystko ułożyło się dobrze. - Liz umilkła, a Sally stopniowo zaczęła pojmować sens jej słów.

- Masz... masz zamiar sprowadzić się do niego? O tym mówisz?

- Oczywiście. To przecież idealne rozwiązanie, prawda? Kocham Roba i jego synów, z radością zajmę się gospodarstwem. Rob prowadzi taki samotniczy tryb życia i nic nie wskazuje na to, żeby wkrótce kogoś sobie znalazł. A dom jest duży, znajdzie się pokój również dla moich synów, kiedy będą przyjeżdżać na wakacje i ferie. Poczuję się, jakbym wróciła do dawnych lat.

- Cóż, to chyba dobry pomysł - niewesołym tonem mruknęła Sally. - Rozmawiałaś już o tym z Robem?

- Jeszcze nie, ale on na pewno się ucieszy. Obejdzie się bez szukania nowej niani i wielkich zmian, a ja zyskam nowy cel. Przyznaję, że perspektywa samotności trochę mnie przerażała.

„On na pewno się ucieszy”, w myśli powtórzyła Sally. Siedziała u siebie przy kominku i analizowała rozmowę z Liz. Teraz ujrzała przyszłość w innym świetle. Rob z pewnością nawet nie weźmie pod uwagę angażowania się w nowy związek. Będzie chciał wesprzeć siostrę, podobnie jak ona pomogła mu po stracie Zoe.

Sally apatycznie mieszała kawę i nie widzącym wzrokiem gapiała się przed siebie, przeklinając swą głupotę. Jak mogła przypuszczać, że Rob zapagnie się z nią związać? Przecież tylko wyraził zadowolenie, bo znów zostali przyjaciółmi. To nie znaczyło zupełnie nic. Ona nigdy nie zdołałaby dorównać pięknej, utalentowanej Zoe. Znów usłyszała jego słowa: „Od dzisiaj Liz i jej synowie są dla mnie najważniejsi”.

Rob z otwartymi ramionami przyjmie siostrę i jej synów. Nawet nie przyjdzie mu do głowy, aby z kimkolwiek się wiązać. A Liz z radością zajmie się bratem i jego dziećmi. Nie wolno jej odebrać nowego celu.

Sally odgarnęła z czoła włosy i sięgnęła po Ust, który dzisiaj przyszedł do przychodni. Był zaadresowany do Roba i miał nowozelandzki znaczek z datą sprzed dziesięciu dni. Rob prosił Sally, by otwierała jego korespondencję, więc rozcięła kopertę i przebiegła wzrokiem krótką wiadomość. Lorna Beckwith pisała, że za tydzień wraca do Drumneedoch i do pracy.

W ten sposób wszystko się układa, z goryczą pomyślała Sally. Lorna zajmie moje miejsce, Liz zamieszka z Robem, a doktor Sally Jones stanie się zbędna.

Obrzuciła wewnątrz domku ostatnim spojrzeniem i cicho zamknęła za sobą drzwi. Szybkim krokiem poszła do przychodni i wrzuciła do skrzynki list do Roba. Gdy jutro rano będzie go czytał, ona już dotrze do Manchesteru.

Wróciła do zaparkowanego na ulicy auta i zaczęła wkładać walizki do bagażnika. Nagle gwałtownie drgnęła, słysząc czyjś głos.

- Pomogę pani, doktor Jones.

Zdziwiła się na widok Jima Logana podnoszącego jej walizkę.

- Widzę, że jedzie pani na wakacje. Niektórzy to mają szczęście! Nie pamiętam, kiedy ostatnio mogłem trochę odsapnąć ! Właśnie zamierzałem wsunąć pod drzwi zamówienie na powtórny receptę. Pani pewnie nie zechce teraz jej wypisać i oszczędzić mi kłopotu? Ta przychodnia zawsze jest zamknięta, kiedy człowiek czegoś potrzebuje.

- Przykro mi, panie Logan, ale bardzo się śpieszę. Czeka mnie długa jazda. Przychodnia będzie czynna jutro od rana.

- Cóż, tego się spodziewałem - westchnął. Odjeżdżając, widziała, jak Logan człapie do przychodni. Od dwóch dni prószył śnieg, lecz tego wieczoru rozpadał się na dobre, a wycieraczki ledwie nadały z usuwaniem

Kriego puchu z przedniej szyby. Sally dopiero teraz w pełni pojęła, co robi. I żałośnie pochlipując, zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnia największego głupstwa w życiu, rezygnując z jedynej szansy na szczęście. Może powinna zostać i porozmawiać z Robem? Powiedzieć mu o swoich wątpliwościach? Nie, to nie miałyby sensu. Wszystko napisała w liście. A gdyby spojrzała w twarz Roba, nie umiałaby go opuścić, choć już nie jest tu potrzebna. Liz musi przecież mieć nowy cel w życiu po odejściu Stuarta.

Sally do niedawna sądziła, że potrafiłaby żyć, będąc tylko dobrym przyjacielem Roba. On zaś poprosił ją, aby po powrocie Lorny nadal tu pracowała. Dziś zrozumiała jednak, że to niemożliwe. Nie mogłaby codziennie widywać Roba, nie mając nadziei na to, że odwzajemni jej miłość.

Właśnie mijala jego dom. Wydawało się, że minęły wieki od tamtego słonecznego dnia, w którym spotkała Bena i Charliego, a potem pomogła Ellie. A później tyle się wydarzyło. .. I akurat wtedy, gdy sądziła, że zdoła odzyskać Roba, odebrała jej tę szansę nagła śmierć Stuarta.

Pogoda nagle bardzo się pogorszyła. Silny wiatr pędził tumany śniegu, który padał jak w środku zimy. Na zakręcie u podnóża skalnej ściany utworzyła się wielka zaspą. Zatopiona w myślach Sally nie zauważyła

nieoczekiwanej przeszkody i z impetem w nią wjechała. Cała maska auta utkwiała w śniegu, a na dworze właśnie zapadał zmrok.

- O, doktor Rob! Sądziłem, że przychodnia jest nieczynna. Właśnie chciałem wsunąć pod drzwi prośbę o receptę.

- Przychodnia rzeczywiście jest nieczynna, Jim. Wpadłem tylko po formularze. Daj mi tę kartkę, dopilnuję, żebyś jutro dostał receptę. - W głosie Roba zabrzmiała irytacja. Jim Logan był najbardziej natrętnym pacjentem świata.

- Doktor Sally też stwierdziła, że muszę poczekać do jutra. - Logan ciężko westchnął. - Moim skromnym zdaniem wybrała sobie niezłą porę na wakacyjny wyjazd.

- Wakacyjny wyjazd? - Rob zmarszczył brwi. - Nie rozumiem.

- Parę minut temu pomogłem jej włożyć walizy do bagażnika. Powiedziała, że nie ma czasu na pisanie, bo czekają długa jazda. - Logan postawił kołnierz i odwrócił się, aby odejść.

- Chwileczkę, Jim. - Rob nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. - Lepiej wejdźmy do środka. Wypiszę ci receptę, a ty mi powiesz, dokąd pojechała doktor Jones.

- Nie wiem. - Jim wzruszył ramionami. - Ale strasznie się śpieszyła i zabierała chyba cały dobytek, jakby się wyprowadzała. Samochód był zapchany po dach. - Logan z ukosa łypnął na Roba. - Coś nie tak? Chyba nie zostaniemy tu z jednym lekarzem? W sobotę musiałem zasięgnąć powtórnej opinii na temat problemu skórnoego i dyżurowała tylko jedna osoba! To skandal!

- Dzięki za informacje, Jim. Oto twoja recepta. I rozchmurz się, jutro będzie lepiej! - nie kryjąc sarkazmu dodał Rob.

Zaraz po wyjściu Logana wyjął ze skrzynki list Sally i pospiesznie go otworzył.

Wiedziała, że powinna włożyć na siebie mnóstwo ubrań. Czowała się jak pogrzebana w białej jaskini, ponieważ śnieg oblepił już wszystkie szyby. Nie zgasiła silnika, by działało ogrzewanie, ale nie wiedziała, na jak długo wystarczy benzyny.

Wjechała w zaspę niedawno, lecz przypuszczała, że samochód jest już całkiem zasypany. Postanowiła więc spokojnie poczekać na przyjazd pług lub koniec śnieżycy. W tym drugim przypadku spróbuje jakoś się wydostać i dotrzeć do wsi.

Serce miała przepelnione smutkiem. Los najwyraźniej sobie z niej zakpił. Łudził nadzieją na szczęście z Robem i prawie natychmiast ją odebrał. Marzenie pozostało marzeniem. A przecież mogli cudownie ułożyć sobie życie: pobrać się, razem wychowywać Bena i Charliego, razem pracować w tej małej społeczności, którą Sally już zdążyła pokochać, spotykać się z przyjaciółmi. Ale nic z tego nie wyszło. Sally nigdy nie była taka zrozpaczona jak teraz, gdy siedziała w coraz chłodniejszym wnętrzu samochodu i myślała o tym, co utraciła na zawsze.

Nagle rozległo się łomotanie w dach auta i głośne wołanie. Sally nie miała ochoty zareagować. Była półprzytomna, pragnęła zamknąć oczy i odpłynąć w sen. Ten ktoś nie dawał jednak za wygraną. Jak przez mgłę słyszała męski głos, jakiś hałas, po czym silne ramię wyciągnęło ją na zewnątrz, a policzki owionęło zimne, nocne powietrze.

Rozgrzana po kąpieli, do której zmusił ją Rob, leżała w szlafroku na kanapie i trzymała szklanekę whisky, a Rob nerwowo chodził po pokoju. Podczas powrotnej jazdy do Drumneedoch prawie się nie odzywał. Sally przeczuwała, że zaraz to nadrobi.

- Na miłość boską, co ci strzeliło do głowy, żeby gdzieś wyjeżdżać w taką pogodę! Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego! Nie zdawałaś sobie sprawy z niebezpieczeństwa?!

Popatrzyła na niego ponuro i przygryzła wargi.

- Przepraszam, Rob, rzeczywiście się wygłupiłam...

- Wygłupiłaś? Mogłaś tam zginać, ty kretynko! - Rob prawie wrzeszczał, a oczy płonęły mu gniewem. - Nie przyszło ci do głowy, że możesz śmiertelnie zatruć się tlenkiem węgla, skoro ogrzewanie jest włączone, a rura wydechowa zatkana śniegiem? To cud, że w porę cię znalazłem. W tym samochodzie zostało niewiele tlenu. - Chwycił ją za ramiona i gwałtownie przygarnął do siebie. - Dlaczego, do cholery, wyjechałaś? Napisałaś, że bardziej przydasz się w Manchesterze. Naprawdę sądzisz, że dałbym sobie radę bez ciebie?

W pokoju na chwilę zapanowało milczenie. Sally wsunęła za ucho kosmyk włosów i spojrzała w niebieskie oczy Roba.

- A nie? Powiedziałaś, że chcesz, żebyśmy znów byli przyjaciółmi, ale mnie to nie wystarczy, Pojęłam to, gdy Liz mówiła, że chce wprowadzić się do ciebie. Teraz ona potrzebuje twojego wsparcia, uznałam więc, że ty i ja powinniśmy się rozstać.

- Mylisz się, Sally, i to bardzo.

- Nie sędzę, Rob. - Odsunęła się od niego. Musi zachować spokój, nie dopuścić do tego, aby Rob wyperswadował jej powrót do Manchesteru. - Za parę dni przyjedzie Lorna Beckwith. Już mnie nie potrzebujesz.

- Co ty pleciesz? - Gapił się na nią kompletnie ogłupiały. - Przecież ja cię kocham, Sally! Nie potrafię bez ciebie żyć! Czytając twój list, zrozumiałem, jaki byłem głupi. I omal nie straciłem cię z powodu tej śnieżycy... - Jego głos brzmiał głucho, a pięści były mocno zaciśnięte. - I pomyśleć, że z powodu głupiego poczucia winy chciałem zrezygnować z jedynej szansy na szczęście, gotów użalać się nad sobą do końca życia!

Sally nie wierzyła własnym uszom. Czy Rob właśnie wyznał, że ją kocha-  
Raptownie usiadła.

- Co ty mówisz? - szepnęła. - Powtórz to.

- Powtarzam, że nie mogę bez ciebie żyć, Sally. Musisz zawsze być przy mnie. - Rob znów zaczął krążyć po pokoju. - Sądziłem, że już nigdy nie zaryzykuję, bo nie nadaję się na męża.

- Jak możesz mnie kochać, Rob, skoro twoje serce wciąż należy do Zoe?

Błyskawicznie znalazł się przy niej, ujął za ręce i podniósł, aby mieć je tuż przy sobie. Przez moment błędził udreńczonym spojrzeniem po jej twarzy.

- Nie. Sally - szepnął. - Dlaczego przyszło ci do głowy coś takiego?

- Ponieważ wiem, że w twoim życiu nie ma miejsca dla innej kobiety.

- To nieprawda, Sally. Musisz mi uwierzyć. - Ścisnął jej dłonie tak mocno, że poczuła ból. - Zrozum wreszcie, ja nigdy naprawdę nie kochałem Zoe! A po ślubie ją znienawidziłem!

Sally oniemiała z wrażenia.

- Znienawidziłeś? - spytała, gdy odzyskała głos. - Przecież ona była wspaniała! Piękna i utalentowana, urodziła ci dwoje ślicznych dzieci... Jak możesz mówić, że jej nienawidziłeś? - dokończyła szeptem, wpatrzona w niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- To długa historia - odparł ponuro. Puścił dłonie Sally i zacisnął ręce na oparciu fotela.

- Musisz mi ją opowiedzieć, Rob. Jeśli mamy być razem, powinieneś mi wyjaśnić, co was poróżniło i dlaczego obwiniałeś się o jej śmierć.

- Żeniąc się z Zoe, wierzyłem, że możemy być szczęśliwi. - Rob skrzyżował ramiona i przez chwilę patrzył w okno, jakby usiłował zebrać myśli. - Ale oceniając nasze małżeństwo z perspektywy czasu, dziwię się tamtemu optymizmowi. Oczywiście, mogę podać wiele powodów, które skłoniły mnie do ślubu z Zoe. Doskwierała mi samotność, martwiła sytuacja

rodzinna. Wiedziałem też, że moi rodzice ucieszyliby się z synowej, która jest córką ich przyjaciół. Poza tym Zoe była atrakcyjna, pogodna i energiczna. Spędziła sporo czasu za granicą i w Londynie. W takim miejscu jak Drumneedoch wyglądała jak prawdziwa gwiazda. Nie sposób było się jej oprzeć...

Umilkł, a Sally czekała, obserwując grę uczuć na jego twarzy. Potrafiła sobie wyobrazić tamtą sytuację: przytłoczonego problemami młodego mężczyznę, który usiłuje ratować ojca, przejmując jego praktykę, i pragnie stabilizacji, jaką może dać małżeństwo.

- Więc... ożeniłeś się z nią, ponieważ sądziłeś, że ją kochasz?

Rob z westchnieniem skinął głową.

- Może gdybyśmy trochę poczekali, przekonałbym się, że właściwie nic nas nie łączy. Ale Zoe nalegała, żebyśmy szybko wzięli ślub. Kilka jej koleżanek wyszło za mąż i chyba obawiała się, że zostanie na lodzie. A lekarz wydawał się niezłą partią. - Wargi Roba wygięły się w gorzkim uśmiechu. - Cóż, Zoe zawsze dostawała to, czego chciała. Ale sielanka trwała krótko. Pierwszym sygnałem alarmowym okazał się wyciąg z karty kredytowej. Z przerażeniem stwierdziłem, że

Zoe nakupiła sobie ubrań za sumę przekraczającą moje zarobki. Gdy poruszyłem ten temat, oświadczyła, że skoro nie stać mnie na jej stroje, to nie powinienem był się żenić. Dodała też, że me zamierza ograniczać wydatków.

- Niewesoła sytuacja - mruknęła Sally.

- Niewesoła? - Rob zaśmiał się ponuro. - To dopiero początek! Zoe postanowiła zająć się projektowaniem wnętrz, co wymagało dużych nakładów na lokal, tkaniny, tapety i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Może parę lat później byłoby to wykonalne, ale wtedy zarabiałem skromnie i spłacałem długi ojca.

- Klóciliście się?

- Codziennie. - Rob zacisnął pięści. - Och, w towarzystwie zachowywaliśmy pozory. Zoe nigdy w życiu nie przyznałaby, że nasze małżeństwo to klęska. Potrafiła wspaniale ukrywać wszelkie rysy na idealnym wizerunku. I wkrótce okazało się, że jest w ciąży. - Na twarzy Roba odmalował się smutek. - To, co mogłoby nas zbliżyć, stało się początkiem dzielącej nas nienawiści. Zoe nie chciała mieć dzieci, ale ja nie zgodziłem się na aborcję. Zoe czuła się świetnie i wspaniale wyglądała. Lubiała być obsypywana komplementami, których ludzie jej nie szczędzili,

ale w domu bezustannie miała mi za złe swój stan. Twierdziła, że zrujnowałem jej życie.

Sally coraz bardziej współczuła Robowi. Jego żona była daleka od doskonałości. Młody, zapracowany lekarz zapewne przeżywał ciężkie chwile, codziennie wieczorem wracając do opryskliwej, przykrej żony.

- Biedny Rob - szepnęła i wzięła go za rękę.

- Nie, Sally. - Przecząco pokręcił głową. - To ja zawiniłem. Zoe, mimo swojej żywiołowości, była tylko głupiutką dziewczyną. Byłem starszy od niej, nie powinienem stracić głowy, dać się oszołomić jej urodą.

- Zoe dbała o bliźniaków, gdy się urodzili? Rob prychnął kpiąco.

- Zoe umiała dbać tylko o siebie. Dobrze, że Ellie przyszła mi z pomocą. Zajął się dziećmi jak najlepsza marka. Natomiast Zoe używała ich w charakterze szykownych dodatków. Ładnie się prezentowała, trzymając dzieci na rękach lub pchając wózek z dwoma przewiniętymi, nakarmionymi niemowlakami. Ale na tym kończyło się jej zainteresowanie synami.

Sally przypomniała sobie zdjęcie Zoe z dziećmi i zastanawiającą uwagę Ellie, która powiedziała, że Zoe umiała się stroić. Cóż, Ellie знаła prawdę o żonie Roba, ale jako osoba lojalna zachowała dyskrecję.

Sally wzięła głęboki oddech.

- Rob, opowiedz mi, co zaszło tego dnia, gdy Zoe miała wypadek. Dlaczego czujesz się odpowiedzialny za jej śmierć? Proszę, wyjaśnij mi to. Muszę wiedzieć.

- W tamten rano strasznie się pokłóciliśmy. - Twarz Roba była bez wyrazu, jakby starał się stłumić wszelkie uczucia wywołane wspomnieniem tragedii. - Głównie dlatego, że musiałem odwołać nasz wspaniały weekend w Londynie. Poprzedniego dnia zawalił się dom w sąsiedniej wsi i wszyscy lekarze musieli zająć się rannymi. Zoe nie chciała uwierzyć, że jestem niezbędny w szpitalu. Mieliśmy też inny powód do awantury. Zoe właśnie odebrała nowy sportowy samochód, kompletnie nieprzydatny w tutejszych warunkach i o wiele dla nas za drogi. W pewnej chwili oświadczyła, że jedzie sama do Londynu, bo nie ma zamiaru siedzieć w tej dziurze z dwoma wrzeszczącymi bachorami.

- Wtedy... straciłem panowanie i ryknąłem, że niech jedzie, dokąd chce, byle jak najdalej ode mnie. Byłem wykończony nocnym dyżurem, ale nie powinienem tak się unosić. Zoe krzyczała, że będę smażył się w piekle, a ja krzyczałem, że nie chcę jej więcej widzieć. Moje życzenie się spełniło,

prawda? - Na twarzy Roba pojawił się bolesny grymas. - Zoe wybiegła z domu i pięć minut później zginęła.

- To nie twoja wina, Rob. - Sally położyła dłonie na jego ramionach i spojrzała mu w oczy. - W głębi duszy o tym wiesz. Zdarzył się wypadek.

- Gdybym okazał więcej cierpliwości i błagał Zoe, żeby została, to może nie wybiegłaby taka zdenerwowana. Ale ja jeszcze ją podjudziłem. I wtedy rzeczywiście marzyłem o tym, żeby na zawsze zniknęła z mego życia. Ale nie w ten sposób.

Rob wziął Sally w ramiona i delikatnie ją przytulił.

- I to, kochanie, już cała smutna historia. Byłem głupi, żeniąc się z Zoe, a potem zniszczyłem jej życie i swoje. Zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. A dręczyło mnie poczucie winy także z powodu Bena i Charliego. Może z czasem Zoe stałaby się dla nich dobrą matką. Małe dzieci nie osądzają - kochałyby ją bez względu na jej charakter. A ja im to odebrałem.

- Są wspaniałymi dziećmi. - Sally poczuła pod powiekami łzy wzruszenia. - Możesz być z nich dumny. Musisz skupić się na przyszłości, Rob. Przyszłości twoich synów. Nie możesz do końca życia oglądać się do tyłu. Dobrze wiesz, że byłeś dla siebie zbyt surowy. Gdybyś usłyszał tę historię od jakiegoś pacjenta, poradziłbyś mu, żeby zostawił przeszłość za sobą, prawda?

Pochylił się i leciutko musnął wargami jej usta.

- Mam przed sobą przyszłość tylko wtedy, jeśli ty będziesz jej częścią - rzeki półgłosem. - Powiedz, że za mnie wyjdiesz, Sally. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. I pomyśleć, że prawie cię utraciłem... - Przez moment patrzył jej w oczy, po czym przygarnął ją niemal brutalnie i namiętnie pocałował.

Stopniała w jego ramionach, czując przyływ pożądania.

- Och, Rob, tak bardzo cię kocham. Naprawdę mnie potrzebujesz?

Obdarzył ją spojrzeniem pełnym żaru.

- Naprawdę, Sally. - Jego głos wibrował ze wzruszenia.

- Nigdy nikogo nie pragnąłem bardziej niż ciebie. Nigdy niczego nie byłem bardziej pewien. Ostatni kawałek układanki wreszcie trafił na swoje miejsce i wszystko stało się jasne.

- Zacisnął dłonie na jej ramionach. - Na miłość boską, nie trzymaj mnie tak długo w niepewności, kochanie. Muszę wiedzieć! Powiedz, że zostaniesz moją żoną!

Zapłakała z radości i jednocześnie się zaśmiała.



- Oczywiście, że tak, ty głuptasie! Od dnia mojego przyjazdu usiłuję cię usidlić!

Uśmiechnęli się do siebie, widząc w swoich oczach przepełniające ich szczęście. Rob powolutku rozwiązał pasek szlafroka Sally i zsunął go z jej ramion, błędząc wzrokiem po jej nagim ciele.

- Teraz nikt mnie nie powstrzyma - mruknął, biorąc Sally na rękę. - Pomogłaś mi pokonać demony z mojej przeszłości, więc teraz mogę sięgnąć po nagrodę! - Uśmiechnął się do niej czule. - Doskonały pomysł, prawda?

Roześmiała się i szepnęła mu coś do ucha, gdy niósł ją do sypialni.

Rozleniwiona seksem wtuliła się w Roba, a on powiedział z uśmiechem:

- Po raz pierwszy w życiu mam za co dziękować Jimowi Loganowi. Gdy ten stary nudziarz nie narzekał na nieczynną przychodnię i nie wspomniał o tobie, mógłbym znaleźć cię dopiero rano.

- Wiem, Rob, że zachowałam się strasznie głupio - delikatnie pogłaskała go po policzku - ale chciałam jak najlepiej dla ciebie i twojej rodziny. Liz tak bardzo obawia się samotności...

- Bardzo kocham Liz, i zawsze może na nas liczyć. Ale musi jakoś przestawić swoje życie. Ma pracę, mnóstwo przyjaciół i zainteresowali. Wkrótce weźmie się w garść. Na szczęście nie zмага się z takim poczuciem winy, jakie dręczyło mnie.

- Kiedy powiesz Liz o nas? - Sally odsunęła się i spojrzała na Roba trochę zmartwiona. - To chyba nie jest dobry moment.

- Przeciwnie. Uważam, że trzeba jej powiedzieć jak najszybciej. Po co ma snuć plany, których nie zrealizuje? Ty, skarbie, i ja weźmiemy ślub w najbliższym czasie, bez względu na okoliczności. Znam moją siostrę, ona powita taką bratową z otwartymi ramionami. Liz wie, jak długo czekałam na prawdziwe szczęście. Nie zabroni mi po nie sięgnąć!

Promienie słońca przenikały przez wielkie rozetowe okno i zalewały blaskiem wnętrze kościoła. Grzmiały organy, na których grała Olga Marchant. A tłumek weselnych gości zaczął klaskać, gdy na dziedziniec wyszła młoda para - ich ukochany doktor Rob i jego piękna żona Sally. Po obu stronach państwa młodych dreptali Ben i Charlie, obaj - podobnie jak ich ojciec - w kraciastych spódniczkach klanu MacKayów i tak samo jak ojciec rozpromienieni.

Sally z uśmiechem popatrzyła na zgromadzonych ludzi. Janet Buchan wysoko unosiła niemowlę urodzone w karetce, przy niej stał George i z

satysfakcją kiwał głową. Obok nich Sheena Skinner trzymała na smyczy podskakującego pieska z wielką kraciatą kokardą na szyi.

Była też Ellie, ocierająca łzy wzruszenia, oraz Liz, kochana Liz, która z zachwytem przyjęła wiadomość o ślubie brata i natychmiast rzuciła się w wir przygotowań. Zjawili się także wszyscy pacjenci. Z kręgu zebranych wybiegł Mick Skinner i z ukłonem wręczył Sally ogromny bukiet wrzосу.

- Dla moich ulubionych lekarzy - oświadczył. - Dużo szczęścia! Zawsze wiedziałem, że się kochacie!

Rob spojrział na Sally, a ona ujrzała w jego niebieskich oczach miłość.

- Mick ma rację, prawda? - spytał, wędrując spojrzeniem po jej lśniących włosach, ślicznej twarzy i szczupłej figurze w kremowej sukni. - Czy jesteś taka szczęśliwa jak ja?

- Oczywiście - szepnęła. - Moje marzenie się spełniło. Wreszcie mam rodzinę.